ŚWIAT

1 ZŁ

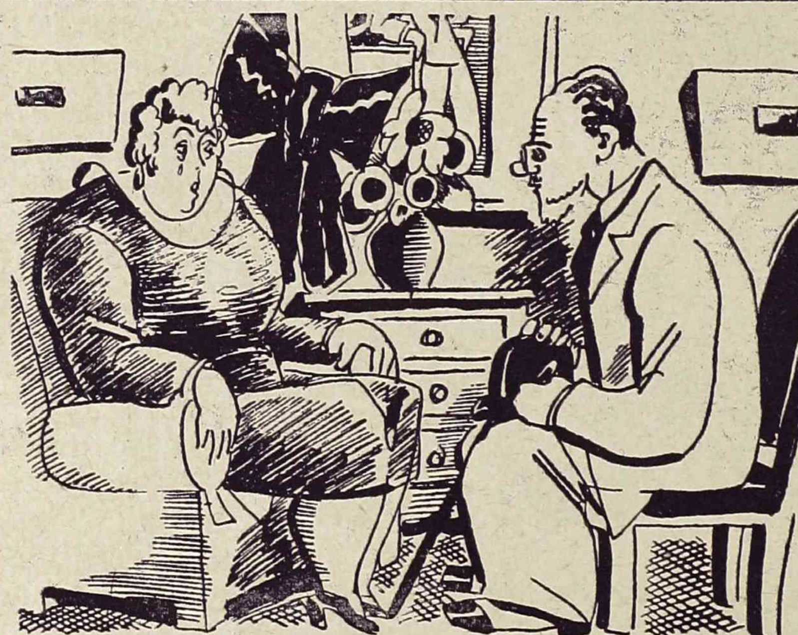
Nr. 50. DNIA 10 GRUDNIA 1932 ROKU



TAMARA ŁEMPICKA ZAKOCHANI

TREŚĆ:

POCIECHY WDOWIE.



— Jedna rzecz tylko mnie pociesza. Teraz będę przynajmniej wiedziała, gdzie on spędza noce.

(Le Rire)

— Jako mąż był niezrównany. Na dwa miesiące przed śmiercią zaasekurował się na życie.

(Le Rire)



ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 10-go GRUDNIA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 50 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Zagadnienie przeludnienia kuli ziemskiej

W tej najdonioślejszej dla ludzkości sprawie zamieszczamy artykuł prof. Jerzego Lotha, wykładającego geografję polityczną i gospodarczą w wyższych uczelniach Warszawy.

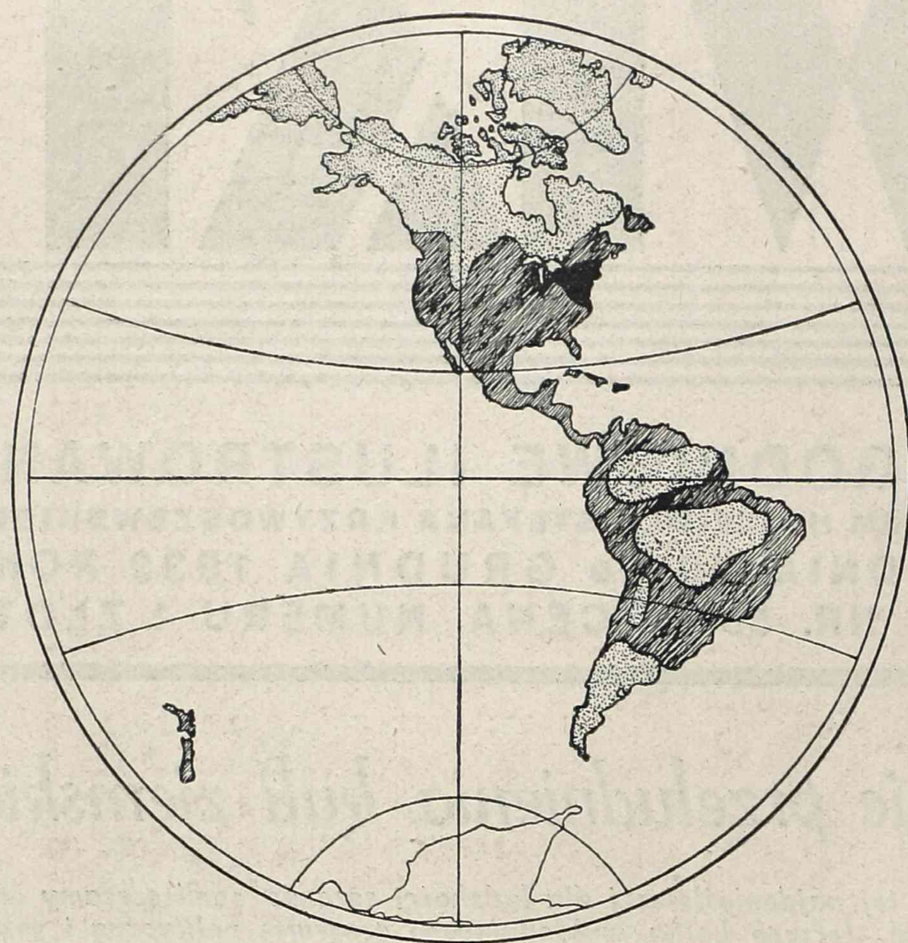
Interesujemy się żywo historją. Sięgamy kilka tysięcy lat wstecz, skrzętnie poszukując przejawów kultury człowieka. Archeologowie przeprowadzają żmudne poszukiwania, dążąc do uchylenia rąbka zasłony czasu, który nas dzieli od starożytności. Odbudowanie przeszłości dziejów stanowi zagadnienie, interesujące nietylko archeologów i historyków, ale i antropologów, którzy badają rozwój człowieka, jako jednostki, geografów, którzy śledzą za jego rozprzestrzenieniem i opanowaniem kuli ziemskiej i wreszcie ekonomistów i socjologów. W czasach nowych przybywają do tego grona uczonych jeszcze statystycy, ujmujący przejawy rozwoju ludzkości w ścisłej formie matematycznej. Praca tych ostatnich zwróciła uwagę na problem rozwoju ludzkości w świetle cyfr. Dokładniejsze spisy ludności, obejmujące coraz to większą część lądu stałego, łącznie z badaniami geografów w krajach nie objętych jeszcze spisami z jednej strony, a prace nad stwierdzeniem przyrostu naturalnego z drugiej— pozwalają nam orjentować się w zagadnieniu przyrostu liczebnego ludzkości.

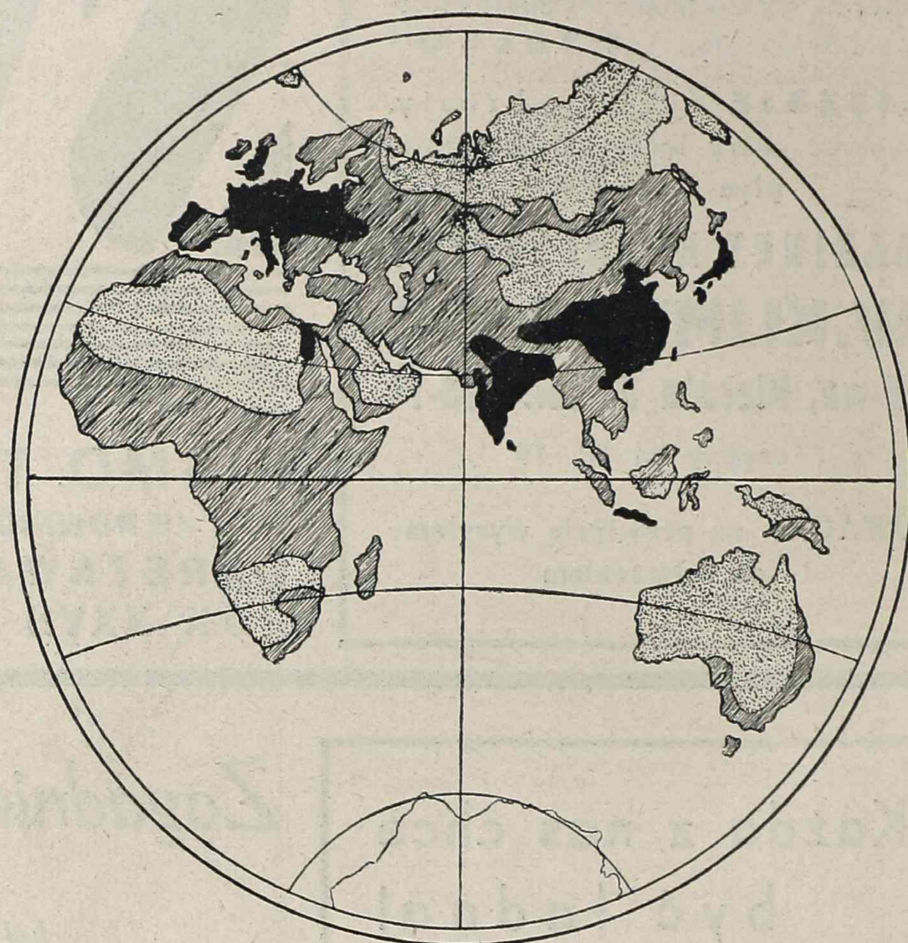
Prognostyki na przyszłość zazwyczaj wzbudzają w nas niedowierzanie. Ewentualnie interesują nas tylko wówczas, gdy chodzi o najbliższe czasy; o lata, w których osobiście możemy jeszcze wziąć udział. Przewidywania na dalsze odstępy czasu rzadko tylko opierać się mogą na faktach pozytywnych, toteż nauka interesuje się niemi tylko tam, gdzie fakty takie bezsprzecznie istnieją; do nauk takich należy naprzykład astronomja. Od czasu jednak, gdy spisy i obliczenia przyrostu ludności stają się coraz bardziej powszechne i przeprowadzane są z wzrastającą ścisłością, wkraczamy w dziedzinie statystyki demograficznej w okres, umożliwiający nam obliczyć przyrost ludzkości na wieki naprzód ze względnie znacznym stopniem prawdopodobieństwa i przewidzieć chwilę, kiedy ziemia dla ludzi za ciasną się stanie.

Dla człowieka nie zajmującego się tą kwestją zagadnienie przeludnienia kuli ziemskiej może być chimerą. Groźba przeludnienia wydaje się bardzo oddaloną, że niemal myśleć o niej nie warto. Oczywiście nie istnieje ona dla najbliższych dziesięciu, lub nawet kilkunastu generacyj, ale obliczenia wykazują, że jest ona znacznie mniej oddaloną, aniżeliby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło.

O ile statystyki nie zawodzą, rok 1930-ty był pod względem liczbowym dla ludzkości przełomowym; w roku tym obliczenia przypuszczalnej liczby ludzi na kuli ziemskiej przekroczyły bowiem dwa miljardy. Podług rocznika statystycznego Ligi Narodów z pierwszego stycznia roku bieżącego, ludność kuli ziemskiej w dniu 1/I 1930 r. liczyła 1.991.000.000 dusz; w ciągu tego roku zaś przybyły 22 miljony, wskutek czego w dniu 1/I 1931 roku żyło na kuli ziemskiej przypuszczalnie 2.013.000.000 ludzi.

Gęstość zaludnienia Kuli ziemskiej





PONIŻEJ 50 LUDZI NA 1 KM².
1 - 50 " " " "
PONAD 50 " " " "

Rozmieszczenie tej ludności przedstawia się cyfrowo w sposób następujący:

	okrągło miljonów km. kw.	1930 w miljonach	1/1 1931 w miljonach	
Azja:	44	1.092	1.103	przyrost 11 m.
Europa:	10	498	506	" 8 "
Ameryka:	42	248	252	" 4 "
Afryka:	30	144	142	ubytek 2 "
Australja i Oceanja:	9	9	10	przyrost 1 "
Antarktyda:	14	—		
Razem:		1.991	2.013	przyrost 22 m.

Z naciskiem zaznaczyć należy, iż są to cyfry jedynie orjentacyjne, gdyż około trzydziestu procent tej liczby ludności oparte jest na mniej lub więcej dokładnych szacunkach, a tylko 70% na spisach, częściowo sięgających roku 1925.

Jak dalece szacunki są rozbieżne, ilustruje najlepiej ocena ludności Chin, którą w roku 1925-m szacowano na od 290 do 545 miljonów; prawda leży prawdopodobnie pośrodku, a średnia wykaże nam cyfrę 418 miljonów.

Same liczby absolutne nie dają nam wszakże możności zorjentowania się w zagadnieniu przeludnienia. Dopiero stwierdzenie przeciętnej gęstości zaludnienia, oraz przeciwstawienie jej gęstości istniejącej w poszczególnych krajach uwypukli różnice i umożliwi dalsze badania.

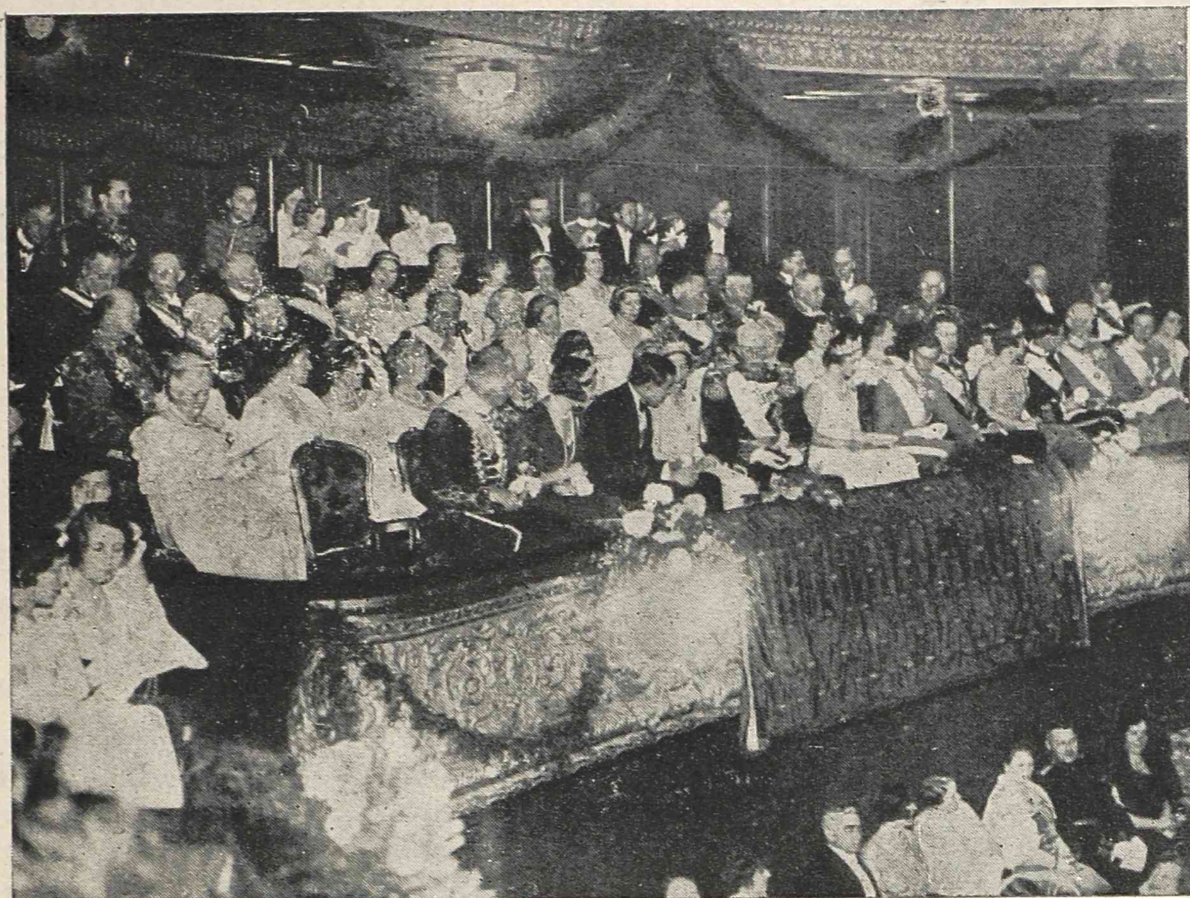
Równomierne rozmieszczenie dwóch miljardów ludzi na całej powierzchni lądu stałego wykazałoby przeciętną gęstość 13 mieszkańców na kilometrze kwadratowym. Jestto już cyfra wcale pokaźna, gdyż istnieją poważne obszary zorganizowanej państwowości, wykazujące przeciętną gęstość znacznie mniejszą; naprzykład w Związku Socjalistycznych Republik Rad wynosi ona 6,9 a w Brazylji tylko 3,6 m/km². Tym cyfrom przeciwstawić możemy natomiast inne kraje, a w szczególności dzielnice, wykazujące bardzo znaczny stopień zaludnienia. Przeciętna dla Rzeszy Niemieckiej wynosi 133,2 m/km², dla Wielkiej Brytanji 190, dla samej Anglji 287, dla Belgji 265. Ale w Saksonji przeciętna gęstość zaludnienia sięga 333,5, dla polskiego Śląska Górnego wynosi 307, dla księstwa Lancashire w Anglji — 1019, a w księstwie Middlesex, bez Londynu, sięga nawet liczby 2082 m/km².

Są to jednak w istocie tylko dzielnicowe wyjątki, obejmujące względnie ograniczone przestrzenie. Natomiast istnieją na świecie trzy rozległe okręgi znacznego zgęszczenia: największy, tak zwany monsunowy w południowo-wschodniej Azji, zachodnio-europejski i najmniejszy północno-wschodnio-amerykański. Okręgi te stanowią zaledwie jedną dziesiątą część powierzchni lądu stałego, a są zamieszkiwane przez dwie trzecie ludności kuli ziemskiej. Pozostała trzecia część ludności rozproszona jest na dziewięciu dziesiątych powierzchni suchej. Widzimy tedy, że różnice są olbrzymie i że rozmieszczenie gęstości zaludnienia na kuli ziemskiej jest bardzo nierównomierne. Ponieważ zaś istnieją jeszcze rozległe obszary, nie dające się narazie gospodarczo wyzyskać (nprz. Sahara), stanowiące zupełną lub prawie całkowitą anekumenę, przeto wnioskować można, iż obawa przeludnienia kuli ziemskiej obecnie jeszcze nie istnieje.

Zagadnienie to nabierze szczególnego zabarwienia, gdy badać je będziemy w oświetleniu możliwości wyprodukowania dostatecznej ilości pożywienia oraz niezbędnych surowców. Wkraczamy wówczas w dziedzinę ekonomiki; nie dziw tedy, iż zajmowali się tem zagadnieniem przedewszystkiem ekonomiści i antropo-geografowie. W Polsce pracuje nad tym problematem Dr. A. Zierhoffer, profesor Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie, który wyniki swoich badań przedstawił na wykładzie poświęconym inauguracji roku akademickiego 1931-go. Opierając się na jego wywodach, stwierdzić możemy, iż nad zagadnieniem przeludnienia kuli ziemskiej pracowali dotąd przeważnie uczeni anglo-sascy. Pionierem był R. T. Malthus, który dziełem swem „Essay on the principles of population", wydanem w r. 1798-ym, poruszył umysły, zwracając uwagę na to, że ludzkość liczebnie wzrasta szybciej, aniżeli produkcja środków do życia. Zagadnienie to zostało podjęte na szerszą skalę dopiero w ostatnich latach i coraz bardziej interesuje umysły ludzkie.

Jerzy Loth.

(D. n.)



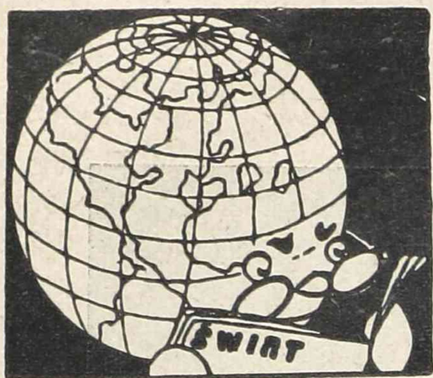
PIERWSZE PUBLICZNE UKAZANIE SIĘ SZWEDZKIEJ MŁODEJ PARY KSIĄŻĘCEJ W OPERZE STOKHOLMSKIEJ. W LOŻY KRÓLEWSKIEJ ZASIADAJĄ W I-YM RZĘDZIE OD LEWEJ: KS. EUGENJUSZ, KSIĘŻNICZKA INGRID, KS. BERTIL, MAŁŻONKA NASTĘPCY TRONU KS. LUIZA, KRÓL GUSTAW, KSIĘŻNA SYBILLA Z KOBURGÓW, JEJ MAŁŻONEK KSIĄŻĘ GUSTAW ADOLF, NASTĘPCA TRONU I RESZTA RODZINY



PODPISANIE FRANCUSKO-SOWIECKIEGO PAKTU O NIEAGRESJI. PREMIER HERRIOT (STOI NA PRAWO) PRZYGLĄDA SIĘ, JAK POSEŁ SOWIECKI W PARYŻU, DOWGALEWSKIJ, KŁADZIE SWÓJ PODPIS

Ziszczenie marzeń naszych literatów — w Rzymie

ROZPOCZĘCIE NOWEGO OKRESU PRACY WE WŁOSKIEJ AKADEMJI NAUKI I LITERATURY. PREZES AKADEMJI, ZNAKOMITY WYNALAZCA MARCONI WYGŁASZA PRZEMÓWIENIE DOROCZNE



TYDZIEŃ ŚWIATA

Szara eminencja

Przesilenie niemieckie zakończyło się mianowaniem rządu gen. Schleichera.

Ten oficer Reichswehry od kilku lat stał za kulisami polityki niemieckiej, był jej reżyserem i inspiratorem. Dziś pokazał się na scenie, w pełnym blasku reflektorów partyjnych, które uwydatnią każdy błąd, każdą plamkę i każde złe posunięcie i pozwolą zanotować na rachunku właściwym. Gen. Schleicher wiele ryzykuje, obejmując trudny i niewdzięczny urząd. Załamanie się karjery politycznej kanclerza Schleichera może mieć przykre następstwa dla karjery wojskowej generała Schleichera.

Nie chce jeszcze wyjść z ukrycia inny wpływowy polityk niemiecki, p. Meissner, szef kancelarji cywilnej prez. Hindenburga. Ten niezwykle zręczny urzędnik był mężem zaufania socjalisty-prezydenta Eberta i stał się najbliższym doradcą prezydenta marszałka polnego. P. Meissner jest przyjacielem gen. Schleichera. Za jego to sprawą usunięto kanclerza Brueninga. On wynalazł v. Papena, któremu teraz na pocieszenie przesłał podpisaną przez Hindenburga niezmiernie serdeczną laurkę pożegnalną. On wystrychnął Hitlera na dudka i jego korespondencja z wodzem „nazi" pozostanie w archiwach politycznych Rzeszy wzorem zręczności i subtelności.



W niemieckiem muzeum osobliwości: *— A oto najcenniejsze okazy naszych zbiorów: dwa ostatnie egzemplarze demokratów niemieckich.*



GEN. VON SCHLEICHER

P. Meissnerowi proponowano stanowisko ambasadora (jego francuszczyzna jest doskonała i jest on ujmującym gawędziarzem). P. Meissner odmówił. Mógłby zostać kanclerzem, gdyby chciał. Wolał wysłać na to stanowisko swojego przyjaciela Schleichera. Za kulisami pozostał już tylko on sam.

P. Meissner ma doskonałe stosunki osobiste z politykami wszystkich stronnictw, prócz dorobkiewiczów politycznych, hitlerowców; jak i gen. Schleicher, umie mieć przyjaciół wśród socjalistów i junkrów, centrowców i nacjonalistów.

Obaj ci panowie będą starali się wyzyskać swoje talenty towarzyskie i swoje osobiste stosunki dla udobruchania wszystkich stronnictw, wtłoczonych między dwa potężne skrzydła, hitlerowskie i komunistyczne. Gen. Schleicher będzie usiłował wylawirować sobie odroczenie Reichstagu bez narażenia się na votum nieufności.

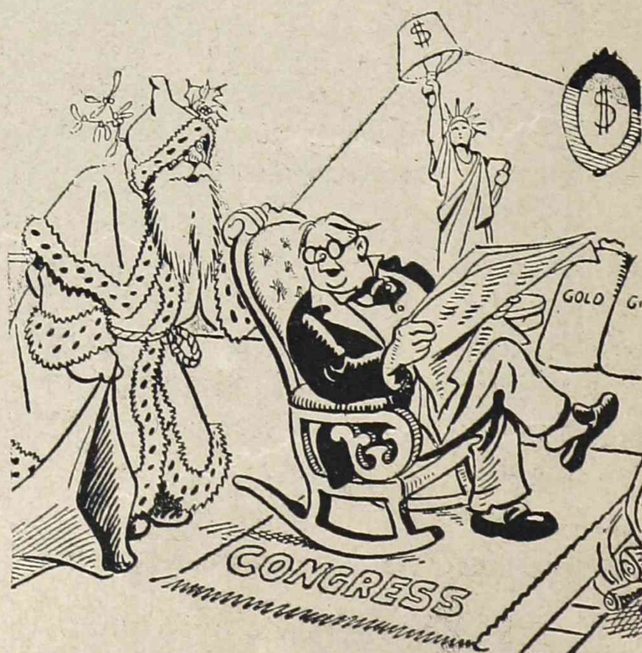
Niedobry wujaszek

Europa nie jest przewidująca. Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku, kiedy prez. Hoover ogłosił swoje słynne moratorjum dla odszkodowań niemieckich i długów międzysojuszniczych, już wtedy powinni byli mężowie stanu Europy zorjentować się, że po upływie moratorjum pierwsza płatność przypada na połowę grudnia 1932 roku, na okres bezkrólewia na Kapitolu waszyngtońskim i w Białym Domu. Tak, należało przewidzieć, że może nastąpić zmiana lokatora Białego Domu, i że w Kongresie Stanów Zjednoczonych znajdzie się aż zbyt wielu senatorów i członków Izby Reprezentantów, którzy opuszczając Kapitol pod przymusem, nie wrócą do swoich byłych wyborców z radosną nowiną, iż odroczyli Europie spłatę długu, iż Europie podarowali na gwiazdkę ponad sto miljonów dolarów.

Ani prez. Hooverowi, ani ustępującym Izbom Kongresu nie uśmiecha się powzięcie decyzji w tej kłopotliwej sprawie. Odejdą przynajmniej z tem, że zmniejszyli deficyt budżetowy o owe sto miljonów raty grudniowej. Niechaj nowy prezydent Roosevelt i niech nowa większość demokratyczna wezmą na siebie odpowiedzialność za rewizję długów, albo nawet całkowite ich skreślenie.

15-sty już niedaleko, i z Ameryki nadchodzą wiadomości coraz mniej zadawalające. Anglja jest, zdaje się, zrezygnowana, i stopniowo ładuje złoto na okręty, aby na czas zgromadzić w Nowym Yorku dwadzieścia miljonów złotych funtów. Płatność w złocie jeszcze najlepiej kalkuluje się Anglikom.

Zanosi się na to, że i inne państwa dłużnicze zapłacą swą ratę. Będą złorzeczyły Ameryce, będą groziły i narzekały, ale zapłacą— i może będą bardziej przewidujące, wszczynając odrazu kroki celem odroczenia następnej raty czerwcowej i rewizji wszystkich układów z Ameryką.



Św. Mikołaj: *Zbliża się gwiazdka. Co pan przygotował na prezenty dla Europy.* Kongres amerykański: *Za stary ze mnie wyga, abym wierzył w Św. Mikołaja.*

Prezes Sławek przeciw dyktaturze

Na świeżo odbytym zjeździe delegatów Związku Legjonistów prezes Sławek wygłosił mowę, w której znalazły się bardzo doniosłe oświadczenia.

„Państwo nasze — mówił on — powstało w warunkach, kiedy idee i zasady demokratyczne tryumfowały. Jedną z tych zasad jest nie co innego, jak oparcie o arytmetykę, o liczbę głosów, która decyduje o ustroju, o tem, co się w państwie ma dziać".

Po tem zrehabilitowaniu zasady arytmetycznej większości, którą nie tak dawno odrzucano dla „teorji elity", p. prezes Sławek stwierdza, że „środowisko legjonowe, nawet łącznie z P. O. W., stanowi w społeczeństwie liczebną mniejszość i to tak małą, że w oparciu o tę arytmetykę głosowania podstawy, prawa do rządzenia państwem niema".

— Jeżeli jesteśmy mniejszością — mówi dalej p. Sławek — to jako mniejszość moglibyśmy rządzić większością przy pomocy teroru, systemem dyktatury niesłychanie gwałtownej, niesłychanie ostrej".

I tu następuje najbardziej sensacyjny ustęp mowy. Odpowiadając tym, którzy sarkają, że „coś nie zostało nakazane", prezes Sławek oświadcza:

„Nakazać można, ale trzeba się uciekać do środków teroru, środków represji, do środków, które pod względem skuteczności będą zawodne i będą prowadziły nie do czego innego, jak do zabicia w społeczeństwie inicjatywy, wartości, pewnej radości życia i zdolności borykania się z losem. Dyktatura i teror prowadzą do tego, że społeczeństwo przestaje być społeczeństwem, a staje się popędzanem stadem. Ponieważ nie leży to na linji ani naszych tendencyj, ani zamierzeń, ani chęci, musimy ten system rządzenia państwem odrzucić".

Zapowiedź ta b. prezesa ministrów i obecnego kierownika Bloku współpracy z rządem, a więc człowieka jaknajbardziej miarodajnego, wywołała w kołach politycznych wielkie wrażenie.

Zjednoczenie konserwatystów

W dziedzinie prawa cywilnego i obyczajowości Polska należy do najbardziej konserwatywnych krajów świata. Ale wśród działaczów politycznych niewielu przyznaje się do konserwatyzmu. Zato partji konserwatywnych mieliśmy sporo. W ostatnich czasach było ich trzy, nie licząc grupek pomniejszych.

Pierwszeństwo z wieku i doświadczenia przypada Prawicy Narodowej, wywodzącej się wprost od Stańczyków krakowskich, silnie zaangażowanej w aktywistycznej linji N. K. N. na rzecz koncepcji austrjackiej, zmiennej w stosunku do marszałka Piłsudskiego, mającej ambicje do prowadzenia polityki samodzielnej. Domeną jej jest Małopolska Zachodnia, a organem — „Czas".

Znacznie młodsze i mniej skrystalizowane jest Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe, powstałe w 1925 r. z fuzji Stronnictwa Narodowo-Rolniczego, działającego na terenie Wielkopolski, z Chrześcijańsko - Narodowem, operującem wśród ziemian Małopolski Wschodniej, a poczęści Kongresówki. Czynnikiem łączącym obie grupy była zależność ideowa od Narodowej Demokracji. Dzisiaj wpływy te odpadły i stronnictwo całkowicie stanęło na gruncie współpracy z rządem pomajowym. Po zamknięciu „Warszawianki" głównym jego organem stał się „Dziennik Poznański".

Najmłodszą formacją jest Organizacja Zachowawcza Pracy Państwowej, o wyraźnych tendencjach monarchistycznych, działająca na Kresach Wschodnich, głównie w Wileńszczyźnie, gdzie wydaje „Słowo".

Od kilku lat trzy te partje konserwatywne posiadały komisję porozumiewawczą, uzgadniającą ich akcję i dającą swym poglądom wyraz w „Dniu Polskim", wychodzącym w Warszawie. Obecnie partje te łączą się w jedną — w Związek Zachowawczy, co jest zupełnie zrozumiałe, gdyż wszystkie dawne różnice orjentacyjne i taktyczne wygasły, pozostała zaś wspólna platforma obrony interesów rolnictwa, zwłaszcza większej własności ziemskiej. Mniej natomiast jest zrozumiałe, że jednocześnie z fuzją stronnictw ma być zwinięte pismo, które ją przygotowało ideologicznie i praktycznie. Od 1-go stycznia „Dzień Polski" przestaje wychodzić.

Księżna włoska w Afryce



Podczas podróży po Trypolitanji księżna Piemontu, małżonka następcy tronu włoskiego Humberta, ku radości mieszkańców chętnie przywdziewa strój miejscowej ludności arabskiej. Zwłaszcza, że bardzo w nim do twarzy.

Radykalizm p. Witosa

Gdy ziemiaństwo dopiero się łączy w jedno stronnictwo, lud wiejski już od dwóch prawie lat ma wspólną organizację, powstałą ze zjednoczenia umiarkowanego „Piasta" z radykalnem „Wyzwoleniem" i jeszcze hałaśliwszem „Stronnictwem chłopskiem". To Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, jak się okazuje, ujednostajniło już swe poglądy i to śluzując mocno na lewo. Wynika to z wywiadu, jakiego udzielił ostatnio p. Witos, uważany dotychczas za najbardziej rozważnego i umiarkowanego poli-

tyka chłopskiego. Dzisiaj p. Witos oświadcza:

„Rozważając możliwości poprawy doli chłopskiej, widzę ją tylko w przeprowadzeniu hasła: Ziemia dla chłopów bez odszkodowania — w zniknięciu wielkiej własności i przebudowaniu państwa na nowych podstawach. Kapitalizm przeżył się i skończył, i kto tego nie widzi, jest ślepcem".

Ta radykalizacja społeczna idzie w parze z przesunięciem się na lewo pod względem politycznym. B. prezes ministrów mówi bez ogródek:

„Jestem kategorycznym zwolennikiem opuszczenia Sejmu przez całą lewicę. Przecież siedząc w tym Sejmie, kompromitujemy się tylko, i bądź-co-bądź bierzemy odpowiedzialność za wszystko, co się w nim dzieje. Nasze opuszczenie Sejmu znalazłoby wielkie zrozumienie i uznanie w szerokich sferach społeczeństwa, jak również znalazłoby należyty oddźwięk zagranicą".

I dla większego zadokumentowania zmian dodaje:

„Na zakończenie dodam też, że chciałbym działać w ścisłej łączności całej lewicy demokratycznej i byłbym bardzo zadowolony, gdyby się rychło i trwale dało umocnić węzły, jakie nas łączą".

Więc odrodzenie Centrolewu!?

Rycerska krew

Z powodu przedwczesnego, nagłego zgonu ś. p. Stefana hr. Przeździeckiego, ambasadora naszego przy Kwirynale, należy przypomnieć jeden epizod z życia nieboszczyka, świadczący o jego rycerskości i wysokiem poczuciu obowiązków. Zdarzyło się to równo 10 lat temu, 11 grudnia 1922 roku.

W dniu tym nowoobrany Prezydent Rzeczypospolitej, ś. p. Gabrjel Narutowicz miał udać się do Sejmu dla złożenia przysięgi. Stosownie do przepisów, zaszczyt towarzyszenia elektowi Zgromadzenia Narodowego przypadł prezesowi ministrów, którym był wówczas prof. Juljan Nowak. Rola nie była łatwa, gdyż — jak wiadomo — wybór ś. p. Narutowicza wywołał ferment wśród pewnych sfer. Młodzież wyległa na ulice i zajęła drogę między Belwederem a Sejmem, aby manifestować przeciw nowemu prezydentowi.

W tych warunkach p. premjer Nowak na godzinę przed uroczystością uprzedził, że z powodu choroby nie może towarzyszyć Prezydentowi, zlecił czynność tę szefowi protokułu dyplomatycznego, którym był wówczas Stefan hr. Przeździecki. Zawiadomiony w ostatniej chwili, nie zawahał się. Ale wynikła niespodziana przeszkoda. Hr. Przeździecki, nie będąc przygotowanym, przyjechał do Belwederu w zwykłem ubraniu. Dopiero któryś z urzędników Kancelarji Cywilnej musiał pożyczyć mu cylindra.



Ś. P. STEFAN PRZEŹDZIECKI

Hr. Stefan Przeździecki przebył całą drogę w otwartym powozie z prezydentem Narutowiczem do Sejmu i z powrotem. A była to prawdziwa Kalwarja.

P. Zofja Kodisówna, siostrzenica ś. p. Gabrjela Narutowicza, opowiada w swych wspomnieniach, że prezydent ze wzruszeniem mówił o szlachetności Stefana Przeździeckiego, który „narażając własne życie, starał się tłum uspokoić i zawstydzić".

Ten szczegół, tak charakteryzujący człowieka, należy przypomnieć nad Jego grobowcem.

Ekscesy studenckie

Tragiczny epilog starcia między kilkoma korporantami a mętami społecznemi żydowskiego pochodzenia we Lwowie wywołał we wszystkich środowiskach akademickich podniecenie, które doprowadziło do pożałowania godnych wypadków.

Nie trzeba jednak przeceniać znaczenia tego pierwotnego powodu. Rok rocznie, pod tym czy innym pretekstem, wybuchają na jesieni rozruchy antysemickie w wyższych uczelniach, mające za podłoże nadmierny procent kształcących się tam żydów. Tego niepomyślnego zjawiska nie da się jednak usunąć metodami, stosowanemi przez znaczną część chrześcijańskiej młodzieży akademickiej. Przeciwnie, gwałty, jakich się ona dopuszcza: wyrzucanie kolegów żydów z audytorjów i pracowni, napadanie na przechodniów o semickim wyglądzie, rozbijanie sklepów żydowskich — tylko mogą zrazić do ich sprawy społeczeństwo kulturalne, widzące w tych ekscesach wybuch niszczycielskich i dzikich instynktów, a nie uprawnioną walkę o miejsce dla młodzieży polskiej na uniwersytetach. A już najgorzej, że akcja ta bierze początek z tak mętnego źródła, jak bójka nocna, co bynajmniej nie przysparza jej uroku.

Trudno też bronić młodych zapaleńców przed represjami, gdy posługują się oni pałkami, kamieniami, a nawet bronią palną. Nie mogą miasta nasze uniwersyteckie zamienić się w teren bijatyk i rozbojów. Gdy jedna grupa wybije szyby w redakcji na Krakowskiem Przedmieściu, wnet inna bierze odwet na witrynach redakcyjnych przy ul. Zgoda. Całe życie miasta anarchizuje się i rozstraja.

Najgorzej wychodzi na tem sama młodzież. Już nie mówimy o tych przypadkowych ofiarach, które zostają aresztowane, sądzone, skazywane i relegowane z uczelni, które zwichniętem życiem zapłacą za nierozsądne wybryki, ale ogół kształcącej się młodzieży traci czas i energję napróżno, w złym, szkodliwym kierunku. Jesteśmy w połowie grudnia, a większość wyższych zakładów polskich miała zaledwie kilka dni normalnej pracy.

I jak przy takiem marnotrawstwie nadążyć w rozwoju duchowym i materjalnym za resztą świata?

Podróż dookoła świata G. B. Shaw'a

Po Warszawie krąży pogłoska, że G. B. Shaw zamierza odwiedzić nasze miasto podczas swojej podróży dokoła świata w przyszłym roku. Pogłoska ta powstała stąd, że Shaw istotnie zamierza odbyć podróż dokoła świata — ale okrętem. Do brzegów polskich okręt ten nie przybije, ale zapewne zatrzyma się na kilka dni w jednym z portów amerykańskich, i ziści się wreszcie marzenie miljonów Amerykan, ciekawych, ile to wymyślań o ich kraju znajdzie Shaw w swoim bogatym słowniku.

Shaw unikał dotąd podróży do Ameryki. Wiele przytaczał powodów, dla których nie powinien był tam jechać: jednym z najważniejszych był ten, iż miljony Amerykan zgromadziłyby się w jednem miejscu dla powitania go — i kontynent, jednostronnie obciążony, wywróciłby się. Amerykanie są jednak gotowi zaryzykować tę katastrofę.



Polska wyprawa wgłąb Afryki

przed 50-ciu laty

Dnia 13 grudnia b. r. upływa 50 lat od chwili wyruszenia pierwszej polskiej ekspedycji afrykańskiej, która, jakkolwiek nie dała upragnionych przez jej inicjatora wyników politycznych i nie zdobyła nam własnej kolonji, jednakże zapisała się chlubnie w dziejach nauki polskiej i stanowi w rocznikach naszego podróżnictwa niezapomnianą kartę.

Budząca się dzisiaj w społeczeństwie polskiem myśl zyskania dla naszej ekspansji własnej kolonji zamorskiej bierze początek w wyprawie Stefana Scholtz-Rogozińskiego, którego z tej racji śmiało ojcem polskich pionierów afrykańskich nazwać można.

Któż to był ów śmiałek, wyprzedzający zuchwałą myślą o lat pięćdziesiąt akcję podejmowaną dzisiaj przez szczupłe jeszcze grono ludzi?

Urodzony w Kaliszu dnia 14 lutego 1860 roku, Stefan Rogoziński był synem zamożnego przemysłowca tkackiego, pochodzącego z rodziny niemieckiej, Ludwika Scholtza, i Malwiny z Rogozińskich. Jako dwunastoletni chłopiec został oddany do gimnazjum we Wrocławiu. Już wtedy przejawiła się w nim chęć poznania obcych krajów, to też podczas wakacyj zwiedził Niemcy i znaczną część Europy Środkowej. Ze szczególniejszem też zamiłowaniem oddawał się nauce geografji.

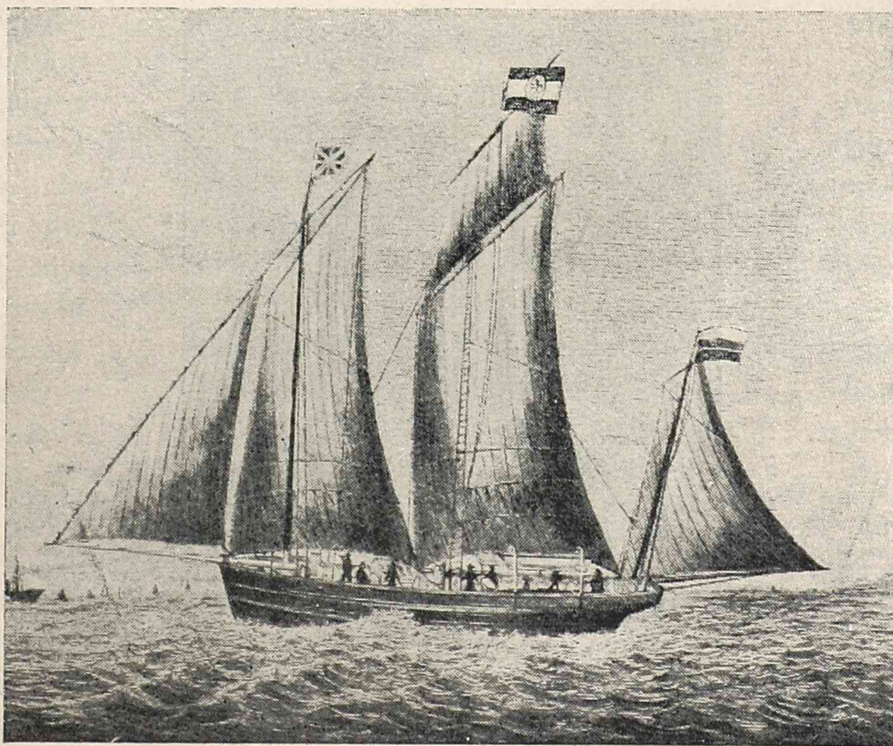
Po opuszczeniu szkoły udał się do Petersburga i wstąpił, jako ochotnik, do marynarki. Podczas lata wypływał z eskadrą, zimą zaś pracował u astronoma Zybina, któremu zawdzięcza, że po upływie połowy czasu, potrzebnego na przygotowanie się do egzaminu oficerskiego, zdał go chlubnie w szkole marynarki wojennej w Kronsztadzie.

Przydzielony do eskadry, udającej się na wody chińskie, jako miczman odbył podróż naokoło świata na okręcie wojennym; podróże u brzegów Afryki natchnęły go myślą zbadania istniejących gdzieś, za pasmem gór kameruńskich, nieznanych obszarów dziewiczych. Wydrzeć przyrodzie tajemnicę, oddać cywilizowanemu światu, a przedewszystkiem Polsce nowy szmat nieznanego lądu wraz z olbrzymiemi i nie wyzyskanemi bogactwami naturalnemi — oto plany młodego eksploratora.

W połowie 1881 roku porozumiewa się w Neapolu ze znanym podróżnikiem Bianchi i prof. Licata, którzy postanawiają towarzyszyć mu w wyprawie. Obok Bianchi'ego znaleźli się i inni ochotnicy, a nawet protektorowie, którzy ofiarowali pieniądze. Ale w takich warunkach wyprawa, pomimo swego polskiego przywódcy, byłaby włoska. Tego Rogoziński nie chciał za żadną cenę. To też zrezygnował z pomocy Włochów i zaczął ubiegać się o zyskanie polskich środków materjalnych, potrzebnych do przeprowadzenia swej ekspedycji. W następstwie tego w listopadzie roku 1881 ogłosił w „Wędrowcu" wezwanie szeroko umotywowane, a zachęcające do uczestnictwa w projektowanej wyprawie, oceniając wysokość udziału na 2,000 rbs. (czyli 5,000 fr.). Projekt ten wywołuje głosy prasy: za i przeciw. Przeciw występował Aleksander Świętochowski, za Sienkiewicz i Prus. Na szczególną uwagę zasługuje kilka wierszy pióra Sienkiewicza, który za wyprawą mocno agitował: „Żywotne narody europejskie stwierdzają właśnie swą żywotność tym niepokojem i zapałem ducha, który, nie szukając nawet bezpośredniego pożytku, chce sięgać tam, gdzie myśl nie sięga, który dla sprawy wiedzy nie szczędzi ofiar ani krwi, ani złota. Im w trudniejszych warunkach znajduje się jakie społeczeństwo, tem lepsze daje świadectwo swym siłom wewnętrznym, swej zdolności do życia, jeśli ogólnoludzkie sprawy postępu obchodzą je jak najsilniej, jeśli zawsze gotowe jest wziąć w nich udział i *zaznaczyć swoją obecność*".

Rogoziński lwią część wydatków pokrywał z własnej kieszeni, a nieco uzyskał od współuczestników wyprawy. Dalszej pomocy udzielił Władysław Branicki, Benedykt Tyszkiewicz, wreszcie panie warszawskie, ujęte powierzchownością młodego podróżnika. Rzecz uwagi godna, że nawet podróżnik i badacz Reclus z Genewy przyczynił się drobnym stufrankowym datkiem do powiększenia kapitału, potrzebnego na przedsięwzięcie wyprawy. Nie od rzeczy będzie tutaj wspomnieć, że wśród popierających wyprawę znalazł się Niemiec Nachtigall, sławny Nordenskjöld, wreszcie król belgijski, który zamierzał wesprzeć ekspedycję podarowaniem potrzebnego statku.

Po półtorarocznych przygotowaniach, wśród których trzeba było pokonywać liczne trudności zarówno natury materjalnej, jak i moralnej, dnia 13 grudnia 1882 r. wypłynęła z Hawru nabyta przez Rogozińskiego „Łucja - Małgorzata", wioząc prócz Rogozińskiego i załogi francuskiej dwuch jeszcze uczestników Poloków: Leopolda Janikowskiego i Klemensa Tomczeka, z których jedynie p. Janikowski żyje dotychczas, ciesząc się powszechną sympatją i poważaniem tych mieszkańców Warszawy, którzy mają zaszczyt znać osobiście tego weterana pierwszej



ŻAGLOWIEC „ŁUCJA MAŁGORZATA"



STEFAN ROGOZIŃSKI

polskiej wyprawy naukowej do Afryki.

Wyprawa do dziewiczych puszcz kameruńskich trwała trzy lata, podczas których Tomczek zmarł na wyspie Mondoleh. Po trzech latach wrócił Rogoziński do Warszawy, aby publicznie zdać sprawę ze swej podróży i wyruszyć ponownie na brzegi afrykańskie, zabierając ze sobą, jako małżonkę, znaną pisarkę Boguską, występującą w literaturze pod pseudonimem Hajoty. Osiadł na wyspie Fernando-Poo, ale już jako plantator, gdy brutalna przemoc Niemców, wspartych przez Anglików, wydarła mu zdobycze polityczne przedsięwzięcia kameruńskiego. Jeszcze raz w kilka lat później zapragnął zainteresować Anglików sprawą kameruńską, doznał jednak niepowodzenia. Umarł w Paryżu w roku 1896, licząc zaledwie 36 lat.

Naukowe zdobycze wyprawy Rogozińskiego były znaczne: odkrył źródła rzeki Mungo, jezioro M'bu, które na cześć Tyszkiewicza nazwał jeziorem Benedykta, wykreślił nową mapę krajów Bakundu, wydaną potem przez Akademję Umiejętności w Krakowie, napisał rozprawę o narzeczu plemienia Bakwiri i sąsiednich plemion, również wydaną przez Akademję, i zebrał bogate zbiory etnograficzne, które ofiarował Muzeum Baranieckiego w Krakowie.

Z pośród wszystkich dokumentów, związanych z wyprawą Rogozińskiego, jeden zasługuje na szczególną uwagę. Jestto Traktat zawarty z Rogozińskim oraz królem i kacykiem Boty przez Anglję. Podpisano go w Bocie. Traktat brzmi:

„Jej Królewska Mość, królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanji i Irlandji, Cesarzowa Indyj etc. etc. i p. S. S. Rogoziński, oraz Król i Kacyk Boty, czyli Bobii, pragnąc podtrzymać i wzmocnić pokojowe i przyjazne stosunki, które tak długo istniały pomiędzy nimi, zamianowała i naznaczyła p. E. H. Hewetta swym konsulem na zatoki Beninu i Biafry dla zawarcia traktatu w tym celu.

Porucznik Artur Furlonger, dowodzący J. K. M. okrętem „Forward", mając odpowiednie upoważnienie od rzeczonego p. E. H. Hewetta, w imieniu Jej Królewskiej Mości, Królowej Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanji etc. etc. — oraz rzeczony p. S. S. Rogoziński a także Król i Kacyk Boty zgodzili się na następujące paragrafy:

Art. I. — Jej Królewska Mość, Królowa Wielkiej Brytanji i Irlandji etc. etc., stosując się do życzenia p. S. S. Rogozińskiego oraz Króla i Kacyka Boty, podejmuje się roztoczyć nad nimi i nad krajem znajdującym się pod ich władzą i jurysdykcją Swą łaskawą opiekę i protekcję.

Art. II. — P. S. S. Rogoziński oraz Król i Kacyk Boty postanawiają i zobowiązują się nie wchodzić w żadne korespondencje, układy lub traktaty z jakimkolwiek obcym narodem lub rządem bez wiedzy i sankcji Rządu Jej Królewskiej Mości - Wielko - Brytańskiej.

Art. III. — Niniejszy traktat nabędzie mocy obowiązującej z dniem jego podpisania.

Dan w dwóch kopjach niniejszego dnia 28 sierpnia 1884 r. w mieście Bota".

Niestety, ta wysoka protekcja nie zdołała uchronić Rogozińskiego przed roszczeniami niemieckimi, wskutek czego utracił wszystkie polityczne korzyści, które przywiązywał do wyników swojej wyprawy. Kamerun, odkryty i zdobyty przez Polaka, zagarnęli Niemcy.



LEOPOLD JANIKOWSKI

Ten negatywny wynik jego wysiłków nie pozbawia jednakże wielkiej dla nas doniosłości wyprawy afrykańskiej, ściślej mówiąc kameruńskiej, dającej nam podstawę do roszczenia pretensyj do posiadania własnej kolonji politycznej w Afryce, niezbędnej dla lokowania nadmiaru ludności.

Wojciech Szukiewicz.

MALARZ O ZREFORMOWANEM SERCU

Jeszcze przed niedawnym czasem Szczęsny Rutkowski reformował zaśniedziałą ludzkość.



SZCZĘSNY RUTKOWSKI

Rysował plany i budował takie nowożytne, stołeczne domy, któreby każdego uszczęśliwiły światłem, ciepłem i wygodą, a były dostosowane do zupełnie kryzysowych kieszeni obywateli.

Plany powiodły się w zupełności; z pięknych i rzeczowo pisanych rozpraw wyglądały już nowożytne osiedla, miasta, dwory i jeśli dotąd nie wygląda nowa Polska a là plan Rutkowskiego, to wina jest osobliwie kaducznych czasów, a nie artysty.

Nie trzeba jednak przypuszczać, że malarz i architekt w jednej osobie pomyślał tylko o wygodzie mieszkaniowej współobywateli, zasięg jego zainteresowań i pragnień poszedł znacznie dalej, bo zamarzył nietylko o przebudowie architektonicznego wyglądu kraju, ale o czemś znacznie większem — o przebudowie dusz polskich na podstawach zupełnie nowożytnych.

Z malarskiego punktu widzenia jest to niezmiernie łatwe: poprostu ogłasza się

ogromnie oryginalny program i maluje się wszystko naodwrót.

Kto nie wierzy w taki program i nie kupuje takich obrazów, jest wrogiem i hańba takiemu!

Szczęsny Rutkowski nie ogłaszał żadnych programów, chociaż chadzał pod rękę z najbardziej groźnymi futurystami, ultrasyntetykami, uśmiechał się do kubów i hyper wibrystów, w rezultacie zaś przyszedł do przekonania, że polski malarz powojenny obejść się może doskonale bez wielu wynalazków francuskich a przedewszystkiem bez ich sztuki, która przed niedawnym jeszcze czasem była jedynie decydującą marką na polską genjalność w malarstwie. A była to trudna rezygnacja — dla artysty, którego wykształcił Paryż przedwojenny i poimpresjonistyczny, a w tej wierze francuskiej utrwalić miały strumienie czarnej kawy i wielkich idei przelewających się po Montparnasie i Dzielnicy łacińskiej.

I z tej rezygnacji urodziła się myśl, jedna z najpierwszych w nowej sztuce polskiej, iż obraz powinien posiadać temat i wyrażać jakąś ideę, bo sam kolor i forma nie wystarczają.

A ziemia polska i dzieje polskie posiadają takie niezliczone mnóstwo tematów, iż zgoła nie potrzeba jeździć po natchnienie do Bretanji, na Fidżi, lub do Salamanki, ale brać je można całą garścią z rodzimej ziemi i przetwarzać na malarskie kompozycje.

W ten sposób zrodziły się obrazy opiewające polskich świętych, legendy nadwiślańskie, dzieje bajeczne. Rutkowski stylizował je w postaci prymitywów, rozumiejąc dobrze, że szukać trzeba nowej formy, odrębnej i opartej na rasowych, polskich wartościach, aby uzyskać pełną harmonję treści z kształtem, co stworzyć może dopiero nowy, polski renesans.

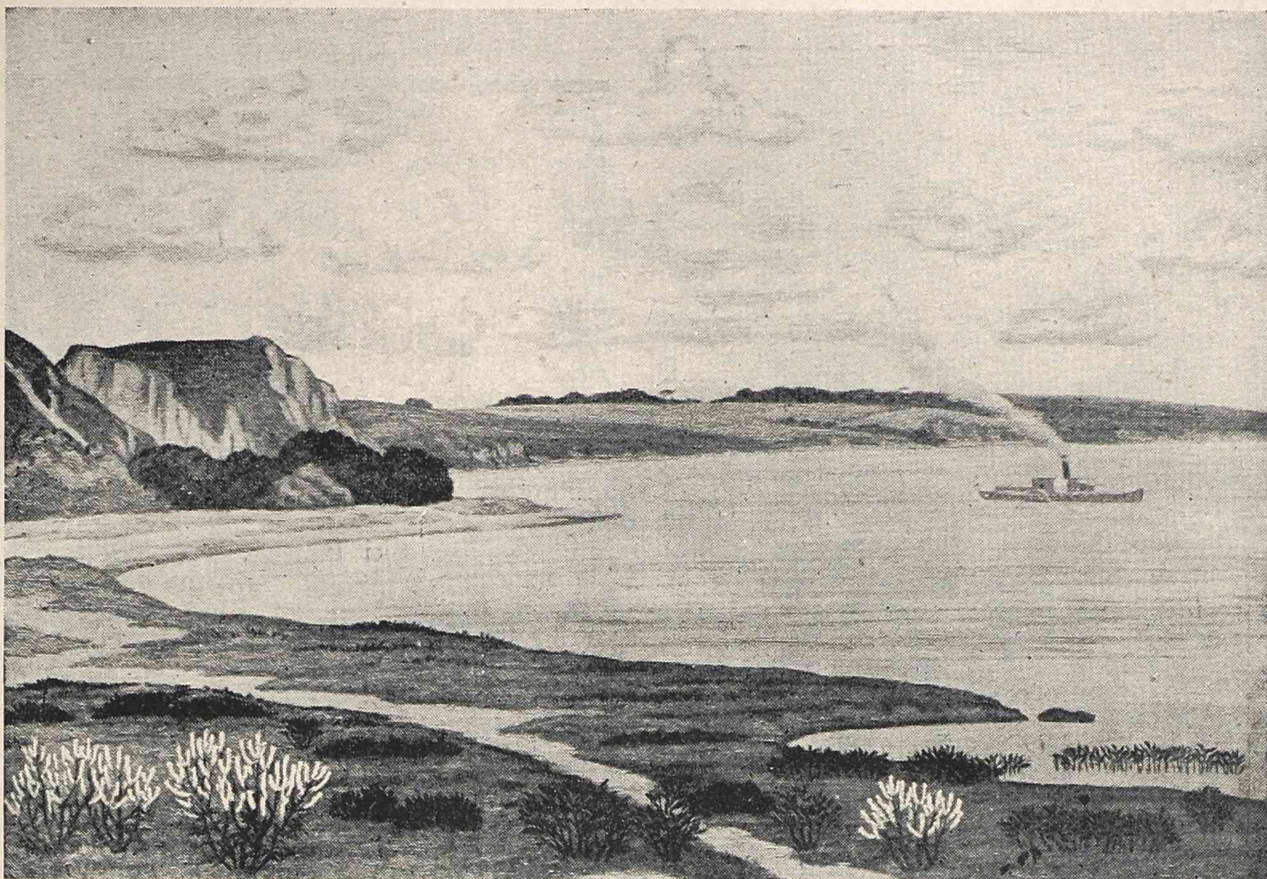
A potem zamilkł Rutkowski na lat kilka, przerzucając się od malarstwa do literatury — a wreszcie postanowił przekonać się, czy jest na świecie piękniejszy kraj, niż Polska.

Odbył fantastyczną podróż dokoła kuli ziemskiej i sprawdził, że ziemia jest okrągła, ale nigdzie nie jest mu tak dobrze, jak w swym uroczym dworze nad Wisłą, wysterczającym z cypla góry, gdzie biją pioruny, a mieszkać tam mogli ongiś korsarze i raubirze.

I od tej chwili zaczyna się snuć w malarstwie Rutkowskiego kolorowa opowieść o pięknie Wisły i jej barwnej melodji, o polach mazowieckich, krasie lasów ośnieżonych i rozkwitłych łąk polskich.

W obrazach tych, wystawionych w „Zachęcie", niema nic reformatorskiego, nic coby spiętrzało włosy na głowie, natomiast jest kolor, jest światło, jest gorący sentyment i potwierdzenie tej odwiecznej prawdy w sztuce, iż dzieła, które łapią za serce, muszą się narodzić w sercu artysty.

Witold Bunikiewicz.



SZCZĘSNY RUTKOWSKI: „ZAKRĘT WISŁY"



SZCZĘSNY RUTKOWSKI: „ZBIERANIE DRZEWA"

Francuzi w hołdzie Goethemu

W salach Bibljoteki Narodowej w Paryżu otwarto wystawę pamiątek po Goethem, którego stulecie święcą bardzo uroczyście w całych Niemczech.

Na wystawę w Bibljotece Narodowej złożyły się eksponaty, pochodzące z 42 muzeów i 72 prywatnych zbiorów francuskich. Dają one miarę żywego zainteresowania się poetą niemieckim we Francji, pomimo tak silnych rozdźwięków politycznych i krwawych konfliktów. Ten hołd, złożony niemieckiemu poecie, jest mimowolnem stwierdzeniem faktu, iż jednym z najgłówniejszych czynników zbratania się narodów, o czem marzy cały świat, jest literatura i sztuka.

Katalog wystawy opracował profesor Collège de France, Charles Andler, wspólnie z znakomitym pisarzem niemieckim Emilem Ludwigiem.

Odkrycie najpiękniejszej sali renesansowej w Niemczech

W czasie przebudowy jednego z starych domów w Norymberdze natrafiono przypadkowo na cenny zabytek architektoniczny z XVI stulecia.

Po zwaleniu murów w wnętrzu domu wyłoniła się stylowa sala renesansowa, pod względem wielkości i piękności nie mająca rywalki w całych Niemczech.

Sala ta powstała kosztem patrycjuszowskiej rodziny Eysserów, znanej zresztą z rozgałęzionych stosunków handlowych z wschodnią Europą, a w szczególności z średniowiecznemi miastami polskiemi.

Olbrzymie wozy Eysserów, wyładowane „norymberszczyzną", docierały aż do Krakowa, wywożąc stamtąd do ojczyzny swej błamy cennych futer i poszukiwanego ongiś w kuchni Zachodniej Europy wędzonego polskiego łososia.

Nowo zrekonstruowaną salę renesansową zdobią piękne malowidła, przedstawiające sceny z Starego i Nowego Testamentu. Malowidła te wyszły z pod pędzla Pawła Juvenela (ur. 1578, † 1643), jednego z najznakomitszych mistrzów swej epoki.



ROBIĘ WYWIAD Z NAPOLEONEM...*)

Zastałem cesarza przy pracy. Przemierzał swój pokój szybkiemi krokami i myślał. Oczami wskazał mi fotel, ani na chwilę nie wstrzymując spaceru po gabinecie. Zabrakło mi odwagi, nie umiałem znaleźć słów dla zadania pierwszego pytania wielkiemu człowiekowi. Milczałem i czekałem. Upłynęło kilka minut. Napoleon jakgdyby wcale nie wiedział o swoim gościu - dziennikarzu, który przyszedł po sensacyjny wywiad i zapomniał języka w gębie.

Wreszcie posłyszałem szept:

— Co za balladą było całe moje życie! Nie żałuję niczego z mojej przeszłości, prócz moich żołnierzy...

Ocknąłem się z nieśmiałości.

— Sire, czy byłeś szczęśliwy?

Cesarz nerwowo wzruszył ramionami.

— Szczęście? — wyrzekł. — Jest to dla mnie najdoskonalsze wyzyskanie moich talentów.

— Czemu zawdzięczasz, Sire, swoje powodzenie w życiu?

— Szczęściło mi się. — Twarz jego bardziej jeszcze spoważniała. — Matce mojej zawdzięczam to, czem jestem i czem byłem.

Nabrałem odwagi. Zacząłem zadawać pytania ogólniejszej natury.

— Co sądzisz, Sire, o dzisiejszych rządach?

— Aby rządzić, nie trzeba trzymać się mniej lub więcej doskonałej teorji. Trzeba budować w materjale, który się ma pod ręką. Poddawać się koniecznościom i korzystać z nich.

— Co sądzisz o obecnym rządzie francuskim?

— Naród francuski, może być łatwiej rządzony, aniżeli inne. Francja jest krajem, gdzie szefowie partyj mają najsłabsze wpływy. Można dokonać we Francji wielkich rzeczy, jeżeli się ma poparcie mas. Przez tworzenie rozłamów w narodzie przygotowuje się wojnę domową. Ja dałem przykład rządów, które popierały interesy wszystkich stanów.

— Jakie właściwie są podstawy polityki Francji?

— Naród francuski jest ożywiony dwiema jednakowo potężnemi namiętnościami, które wydają się sprzecznemi, ale wychodzą z tego samego uczucia: umiłowaniem wolności i dążeniem do wyróżnienia się.

Rozmowa ożywiła się. Zapytałem o pogląd Napoleona na zagraniczną politykę rządu Herriota.

— Sprawy zagraniczne długo jeszcze będą miały pierwszeństwo przed sprawami polityki wewnętrznej. Chciałem utorować drogę do unifikacji Europy, tak samo, jak zjednoczyłem partje we Francji. Europa stałaby się jednym narodem, i ktokolwiek podróżowałby po niej, nie wyjeżdżałby ze swej ojczyzny. Europa idzie w kierunku nieodzownej przemiany. Wstrzymanie jej postępu byłoby marnowaniem wysiłków w nieużytecznej walce. Ułatwianie tego ruchu wzmacnia powszechne nadzieje i dążenia. Prędzej czy później ta jedność ziści się siłą wypadków. Ja musiałem zrazu poganiać Europę siłą oręża. Dzisiaj droga jest otwarta dla rozumu. Pierwszy impet już dano, i wydaje mi się, że jedynym sposobem utrzymania równowagi — to utworzenie Ligi Narodów.

— Czy natura ludzka pozwoli na wieczny spokój?

— Są dwie wielkie potęgi na świecie: Duch i Miecz. Na dłuższą metę Duch zawsze zwycięży Miecz.

Rozległo się w pokoju silne huknięcie pięścią w stół.

— Minęły czasy, kiedy tchórzliwi adwokaci i pyskacze wtrącali żołnierzy w wojny i wysyłali na rzeź. Potrzebny nam jest europejski kodeks, europejski trybunał apelacyjny, ujednostajniony pieniądz, wspólny system miar i wagi. Jedno prawo musi rządzić całą Europą.

— Czy uczucia narodowe nie będą wzniecały niepokojów?

— Europa nie będzie dawała powodów dla krzewienia międzynarodowej nienawiści. Mijają przesądy; rozszerzają się interesy i łączą się; drogi handlowe mnożą się i krzyżują.

Cesarz zatrzymał się. Oczy jego miotały błyskawice.

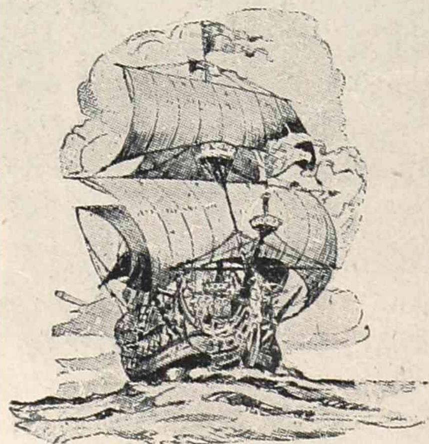
— Czy niedość mordowaliśmy się wzajemnie? Czy zbyt mało cierpień nawiedziło ludzkość? Będziemy wreszcie mieli pokój. Wszystko ma swój koniec, nawet najzajadlejsza nienawiść...

Pędziłem ołówkiem po papierze, przytłoczony ciężarem myśli wielkiego Bonapartego. Cesarz zaczął znowu mierzyć pokój krokami. Stawały się one coraz odleglejsze i cichsze. Kiedy oderwałem spojrzenie od moich notatek, Napoleona nie było już w pokoju.

W uszach moich dźwięczały przeczytane gdzieś słowa Napoleona:

„Człowiek nie może ujść swemu przeznaczeniu..."

W. W.



*) Wszystkie odpowiedzi Napoleona I w tym imaginacyjnym wywiadzie zaczerpnięte są z jego pism, listów lub zaprotokułowanych rozmów.

DR. WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

Niedźwiedź

(Opowiadanie myśliwskie*)

Objąłem nadleśnictwo Jasień.

Jeszcze skrzyń dobrze nie rozpakowano, a oczu nie nasyciliśmy widokiem cudnych grzbietów górskich, nęcących swem fałdzistem okryciem boru, jak piękność jakaś tajemnicą szat powłóczystych, gdy dano mi znać o polowaniu na szkodnika w lasach sąsiedniego nadleśnictwa Niebylów.

Zapowiedź mieszanej zwierzyny doradzała wzięcie trojaka**); mimo, że ranek mgłą i deszczem nawracał z drogi do domu, wczas obrzuciliśmy pierwszy miot liczną tyraljerką myśliwych i nagonki.

Knieję opolowywaną tym razem stanowiły lasy szpilkowe z gęstem podszyciem, o mniejszych kompleksach, ścielące swe głębie u wylotu doliny Łomnicy z Karpat na równiny.

Spodziewaliśmy się dzików i lisów, a każdy z myśliwych marzył w cichości o możliwem spotkaniu także z wilkami, które od kilku dni niepokoiły okolicę.

Pierwszy i drugi rozkład z paru lisów i zajęcy dawał przewagę w zdaniu pesymistów, że dzień jest nieodpowiedni, jakkolwiek niebo zaczęło przełamywać się błękitem.

Gdy dano sygnał rozpoczęcia trzeciego miotu, stałem przy wale i rowie, otaczających las, na narożniku załomu, którym, jakby małą zatoką, wcinała się chłopska polana. Miot był niegłęboki, jakkolwiek dobrze podszyty, więc spodziewano się w nim znowu tylko drobniejszej zwierzyny. Śruty w obydwu lufach, w lewej grubszy, płaszczykowa kula myśliwska na spodzie — stanowiły uzbrojenie mego nowego trzylufka.

Zaczęły mnie dochodzić głosy nagonki; spojrzałem z żalem, jakby to ładnie można było wziąć lisa, gdyby chciał wymigać się z miotu w te krzaki na polanie!... Wtem lekki chrzęst złamanej gałązki tuż, tuż wpobliżu, w gąszczu miotu, zwrócił mą uwagę — wielki cień mignął przez zarośla ku owej polanie i o dwadzieścia kroków przede mną, miękkim, kocim ruchem, ogromny niedźwiedź przesadził nasyp, sunąc, zapewne zirytowany nagonką, najkrótszą drogą z tego lasu! W jednej chwili, czy wiatr dostał, czy instynkt zwrócił mu głowę w mą stronę, dość, że spostrzegł mnie, drgnął i lekkiem odbiciem zwracając się na sztych — podniósł się na zadnich łapach! Widocznie nietylko zdumienie, ale i krwawa zachłanność mej myśli udzieliły się misiowi! Nie wyprostował się jeszcze zupełnie, gdy wyzyskując czysto podaną komorę, pchnąłem przerzut kulowy trojaka i huknąłem w potężne cielsko!

Widziałem, jak niedźwiedź skoczył i ciężko zatopiwszy szpony w nasypie — zniknął zpowrotem w leśnym gąszczu...

Wspaniałe spotkanie! ..rew we mnie grała. Wrażenie, że dobrze strzeliłem, rozpierało mi piersi. Wtem niedźwiedź mignął raz jeszcze w zaroślach, skosem ode mnie, ku myśliwym! Nie dalej, jak na czterdzieści kroków, posłałem mu



jeszcze ładunek grubszego śrutu w grzbiet i puściłem się pędem ku sąsiadowi, wiedząc, że ma lichą broń i nie przeczuwa grożącego mu spotkania; równocześnie złamałem trojak do ponownego nabicia— i o zgrozo! Widzę, że kula nietknięta, a ja takiej bestji posłałem obydwa ładunki śrutowe! Ogarnęła mnie poprostu rozpacz... Okrzyk: — Niedźwiedź! i figura wystraszonego sąsiada, pędzącego ku mnie, szarpnęły mą uwagę.. Niedźwiedź jednak nie wypadł na linję myśliwych; usłyszałem tylko, jak trzeci i końcowy strzelec grzmią w miot, a potem okrzyk zdaleka: — Poszedł zdrów! doszedł mnie jeszcze mimo hałasu nadbiegającej nagonki. Jedyny z myśliwych uzbrojony uczciwą kulą, nie dałem jednak jeszcze za wygraną, chcąc choć w czystem polu zdaleka — posłać właściwą pigułkę za wymykającym się misiem...

Nie minąłem jednak drugiego sąsiada, gdy wtem wypada z miotu chłop z nagonki, blady jak śmierć, i zdyszanym głosem woła:

— Chodyt pane!

W jednej chwili inny obraz mignął mi przez głowę: nic, tylko podrażniony memi śrutami niedźwiedź natknął się na nagonkę i łamiąc ją — poszarpał ludzi! Ze strasznem przeczuciem rzuciłem się za chłopem w gąszcze miotu. Chwilę tylko przedzieraliśmy się i naganiacz stanął, wciąż niemy, trwożnym gestem wskazując przed siebie... Pod potężnym złomem jeszcze potężniejsze cielsko niedźwiedzia leżało bez życia...

Zbyt silnych i krańcowych wrażeń doznałem w paru chwilach, by się z miejsca zorjentować, lecz wkrótce sytuacja wyjaśniła się. Poprzedni mój trojak, którego używałem całe lata, miał przerzut na kulę z innego spustu; stąd powstała moja pomyłka i strzał grubym szczęśliwie śrutem, który przy silnym naboju bezdymnego prochu, oddany zbliska na komorę, okazał się natyle śmiertelny, że silny niedźwiedź nie dalej jak 80 kroków od miejsca strzału runął martwy. Drugi strzał, zajęczym śrutem w krzyże, naturalnie nie złamał ich, a tylko nawrócił niedźwiedzia w miot. Gdy ja i mój najbliższy sąsiad używaliśmy na wrażeniach z misiem, dalsi myśliwi strzelali i najspokojniej pudłowali do defilującego wzdłuż nich zająca, który wkońcu bokiem uszedł; niedźwiedź tymczasem, ugodzony śmiertelnie, zaległ w gąszczu i mając rozbite serce i płuca — zaraz spisał testament, aż się nań o niczem nie wiedząca nagonka natknęła.

Był to piękny, zupełnie wyrośnięty okaz samca, o rudawem, jesiennem futrze. Gdy go sześciu chłopów ciężko na drągu z miotu wynosiło, było na co patrzeć! W miocie tym padł jeszcze lis i zając.

Przezacna bogini po namyśle chciała mnie widocznie na dalsze próby z nową bronią wystawić, gdyż w końcowym miocie wypadła na mnie z gąszcza silna samura i znowu otrzymawszy po przerzucie na kulę z fałszywego spustu dwójkę na komorę, zwaliła się o kilkanaście kroków.

Polowanie było, wbrew przepowiedniom, nader udane; padł jeszcze odyniec, tak, że łącznie mieliśmy na rozkładzie: niedźwiedzia, dwa dziki, wszystkie trzy grube sztuki, pięć lisów i cztery zające.



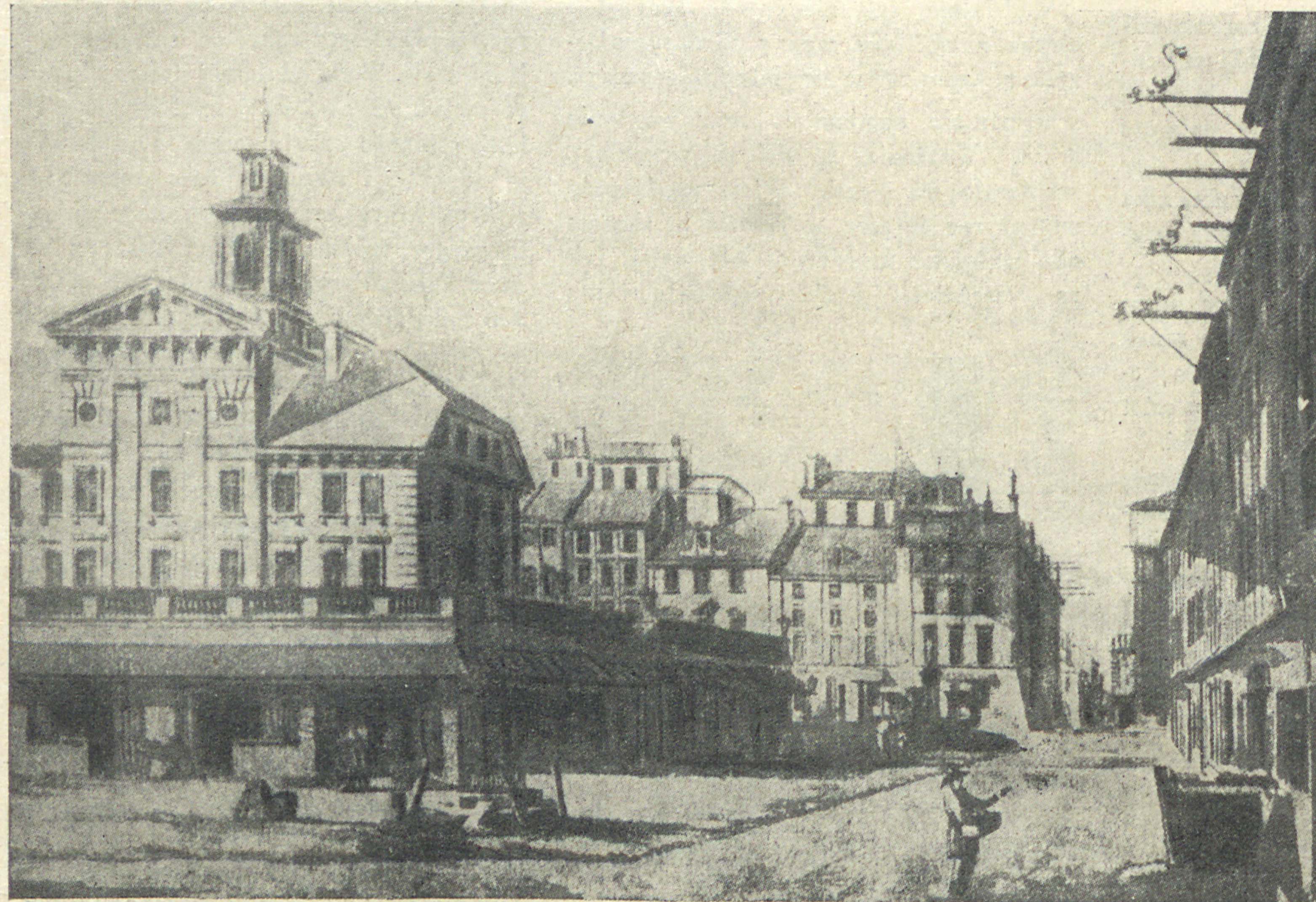
---

*) Wkrótce ukaże się nakładem Głównej Księgarni Wojskowej zbiór wspomnień myśliwskich dr. Władysława Burzyńskiego p. t. „Z Karpat". Za łaskawem pozwoleniem autora jedno z tych opowiadań drukujemy.

**) Trojak, trójlufka, trzylufek (niem. Drylling) — broń o trzech lufach, z których zwykle jedna do kuli, a dwie do śrutu.

WARSZAWA WCZORAJ I DZIŚ

RYNEK STAREGO MIASTA i ŻELAZNA BRAMA



Widok Ratusza i Rynku Starego Miasta według obrazu Zygmunte Vogla (koniec XVIII w.)

Z Krakowskiego Przedmieścia jeszcze kilkaset kroków i jesteśmy na Rynku Starego Miasta. Jakżeż zmienił się od tego czasu, kiedy patrzył nań i uwiecznił swoim pędzlem Zygmunt Vogel.

Na pustym obecnie placu wznosił się aż do r. 1817 wspaniały ratusz z wysoką wieżą. Był to gmach solidnie murowany, a na szczycie wieży połyskiwała złocista gałka, z nad której spoglądał herb miasta — Syrena. Cały budynek otoczony był gankiem dla trębaczy.

Do ratusza tuliły się szeregi sklepów i piwnic, w których już w XV w. sprzedawano słynne piwo piątkowskie; w sklepach zaś kusili wzorzystemi towarami kupcy ormiańscy, handlujący tureckiemi dywanami; domasceńskiemi szablami i t. d. Przed gmachem wznosiła się charakterystyczna żelazna klatka t. zw. „Kuna", w której wystawiano na pokaz motłochowi przestępców i zbrodniarzy.

Frontowa ściana ratusza zwrócona była do strony rynku, będącej przedłużeniem ulicy Jezuickiej, bok prawy wychodził na tę stronę rynku, gdzie wznosi się kamienica Baryczków.

Kiedy w r. 1817 zniesiono ratusz, trzeba było czemś plac ozdobić. Wybudowano więc na środku wodotrysk, w kształcie Syreny, a wolne miejsce oddano pod stragany, owe stragany, które unieśmiertelnił w literaturze Gomulicki, Or-Ot i inni. Za czasów już polskich usunięto je zupełnie, wraz z wodotryskiem, pozostawiając plac zupełnie pusty.

O ile sam rynek przeobraził się bardzo, o tyle niewiele zmieniły się jego boki. Dom Książąt Mazowieckich, z figurą św. Anny na szczycie, jak również słynna kamienica Fukierów pozostały niemal te same. Tak samo nie przeistoczyły się prawie i inne szacowne kamienice.

Przed kilku laty „upiększono" cały rynek pstrokatą i jaskrawą polichromją, nie pasującą ani do charakteru dzielnicy, ani do architektury budowli. Był to jeden z tych niefortunnych pomysłów, w jakie obfituje współczesna urbanistyka. Tak samo nie licują z zadumą i powagą Starego Rynku czerwone chrabąszcze autobusów, wpadające co chwila z głośnem buczeniem i wydychające z siebie benzynowe wyziewy. I wówczas mimowoli przypomina się nastrojowy i pełen tęsknoty za minionemi latami wiersz Or-Ota:

Jak cicho tu się żyło i jak błogo pewnie,
W tych ścianach, skąd grało echem mowa dawnych ludzi,
Dni płynęły, jak bajka o śpiącej królewnie,
Na którą wciąż się czeka, którą wciąż się budzi.

*

Plac położony między obecnemi ulicami Żabią, Krochmalną, Graniczną i Grzybowem otrzymał w r. 1724 nazwę „Za Żelazną Bramą", od bramy, którą wówczas wzniesiono przy zakładaniu Ogrodu Saskiego. Brama, ozdobiona dwiema olbrzymiemi kamiennemi koronami: królewską i elektorską, została w 1817 r. zniesiona, kiedy przeistaczano ogród. — Nazwa placu została.



Plac Żelaznej Bramy według obrazu Żygmunta Vogla (koniec XVIII w.)



Widok dzisiejszy Rynku Starego Miasta

Fotografje Marjana Fuksa (1932 r.)



Obecny wygląd Placu Żelaznej Bramy

Przed laty kilkudziesięciu stał on się wybitnie handlowym punktem miasta. W okrągłem Wielopolu, położonem niemal na wprost pałacu Wielopolskich, Lubomirskich i Krasińskich, który też uległ przebudowie, umieściły się liczne sklepy rzemieślników warszawskich, przeważnie szewców, a plac zajęły setki straganów, na których, pod gołem niebem, sprzedawano wszystko, czego dusza zapragnie.

„Żelazna Brama" była zwłaszcza rajem dla dzieci. Zabawki, kosze z łakociami, wielkie pęki kolorowych balonów już z za krat ogrodu kusiły i nęciły. Z chwilą wybudowania hall, plac stracił swój jarmarkowo-odpustowy charakter, choć nie przestał być ożywionym punktem handlowym. Zwłaszcza dziś, w dobie kryzysu, gdy tam wszystko jest tańsze.

Wracając do pałacu, zaznaczyć trzeba, że był on przy końcu XVIII w. zimową rezydencją Rozalji z Lubomirskich Rzewuskiej, żony Emira, której głowa spadła na gilotynie w 1794 r. w Paryżu. Przed dwoma laty dobudowano mu dwa piętra i zmieniono fasadę. Ale w wysokich podziemiach i kurytarzach dolnych zostały nędzne sklepiki, warsztaty i kramy.

Świat książki

O PRACY TŁOMACZA

Tłomaczenia pokrywają pstrokatym zalewem okna księgarni, bibljoteczne półki, wózki na rogach ulic. Żyjemy w okresie ich rozpanoszenia. Narzekamy na nie. A jednak tłoczą się nam do rąk w swej różnorodności: powieści sensacyjne, podróżnicze, studja i romanse, pornografja i zagadnienia społeczne. Jaskrawy fotomontaż okładki osłania podobnym szyldem utwory genjuszów i grafomanów i często nie wyróżnione w powodzi innych wydawnictw, nie opatrzone żadnym znakiem rozpoznawczym, przyżeglowują do nieuświadomionego czytelnika potężne dzieła wielkich umysłów i talentów świata.

Zrażeni nizkim poziomem złych tłomaczeń, skłonni jesteśmy nie oceniać pracy tego, który te wspaniałe książki przybliżył do nas — pracy pośrednika, tłómacza. Rzadko opłaca się ten mozolny wysiłek odnajdywania słów obcych a współbrzmiących, wystukiwania odpowiadających sobie tonów na klawjaturze skomplikowanej dwóch języków, ubierania w inne, wierne i piękne wyrazy myśli niezrozumiałych dla nas w swem pierwotnem brzmieniu.

Doskonałe tłomaczenia rzadko pojawiają się u nas w morzu książek złych w oryginale i książek tłomaczonych źle. Ale tem skwapliwiej należy je z tego morza wyłowić, przez wzgląd na utwór, który nam uprzystępniają, i dla zasług pisarza, który ujawnił w swej pracy tłomacza twórczy stosunek do przedmiotu.

Społeczeństwu każdego kraju konieczne są do rozwoju kulturalnego te pożywne, obce i mocne soki, ciągnione z literatur innych narodów. Obok nielicznych, wtajemniczonych w trudne brzmienie cudzoziemskich wyrazów może z nich korzystać ogół tylko za pośrednictwem dobrego utalentowanego tłómacza.

Tłomacz pełni więc posłannictwo, nietylko artystyczne, ale i społeczne, wzbogaca inwentarz kulturalny o pozycje tak duże, jakiemi są nprz. liczne tłomaczenia Boya z literatury francuskiej.

Rzetelna i kulturalna praca Anieli Zagórskiej przywróciła nam nanowo, w sensie najbardziej artystycznym, tak gorąco reklamowane prawa do Józefa Conrada, rozpowszechniła w szerokim zakresie jego [illegible], jego burze i potęgę utajonych prądów na terenie polskim. Mistrzowski przekład Marji Dąbrowskiej Nielsa Liehne Jacobsena pozostanie nazawsze w naszym dorobku kulturalnym, jak klejnot...

Artystyczne pośrednictwo wielu innych dobrych tłomaczy jest ważnym czynnikiem tego intelektualnego zbliżenia ze światem, którego tak łakniemy, obdarza nas dziełami wielkich talentów, uprzystępnia nam zdobycze literackie, rezultaty twórczych wysiłków, spokrewnia z dalekiem życiem innych narodów.

Dobry smak literacki możemy w sobie pielęgnować i wysubtelniać tylko równorzędnie ze sprawiedliwą oceną tłomacza-artysty, jego wyrafinowanych kłopotów nad wagą, jednoznacznością, brzmieniem i ekspresją polskiego słowa. Trudny to kunszt, mimo pozory łatwości, które są źródłem fatalnych prób i nieczytelnych książek. Ale właśnie i tylko przez pochwałę rzeczy dobrych, przez podniesienie skali wymagań wybrniemy z pośród krzyczących okładek i żółtych źle drukowanych stronic, z pośród dziwolągów językowych i błędów korektorskich, z pośród Wallaców i Pitigrillich na kulturalny międzynarodowy poziom dobrej książki.

H. Mortkowiczówna

NOWE PRZEKŁADY

„Don Kichot" Cervantesa. Przekład dr. Edwarda Boyé. Drzeworyty Stefana Mrożewskiego. Tom I. pomnikowego wydania J. Mortkowicza.

Przedziwny Hidalgo Don Kichot z Manczy Miguela de Cerwantesa Saavedry, jedno z najwspanialszych i najmądrzejszych dzieł literatury świata, książka pełna patosu i humoru, trywialności i heroizmu, poezji i satyry, przetrwała wieki, nie straciwszy nic na swej sławie i popularności. Skomplikowane w pełnej przygód fabule dzieje romantycznego głupca i gminnego prostaka, które stały się dla nas symbolem walki nierealnego idealizmu z jałową i płaską rzeczywistością, i dziś są najtrafniejszym obrazem nietylko przeszłości historycznej, ale sensu życia, który się nie zmienia. Przygody Don Kichota, których tragikomiczny przebieg znamy na pamięć, pisane poto, „by melancholik się uśmiechał, by człowiek wesoły stawał się jeszcze weselszy, by prosty na duchu się nie frasował, a mądry rozkoszował się inwencją", docierały już do nas w dwu polskich wersjach. Ale dopiero z tego nowego tłomaczenia, jaknajwierniej oddającego oryginał, z wyczuciem archaizującego polszczyznę i zachowującego wszystkie pełne wdzięku i humoru finezje językowe Cervantesa, możemy poznać prawdziwą wartość artystyczną tej potężnej satyry na ludzkość, ozdobionej promiennym uśmiechem mądrości.

⁂

Sygryda Undset. „Macierzyństwo". (Tłom. i wstęp Marji Kuncewiczowej. Wyd. „Rój"). Mimo całe bogactwo produkcji literackiej Sygrydy Undset, pozostanie ona zawsze autorką jednej książki „Krystyny, córki Lawransa". Sile tego rewelacyjnego utworu o miłości, walce i śmierci, pochwały życia w jego całem bogactwie i brzemieniu, nie dorówna już norweska pisarka żadnym wysiłkiem twórczym. To też i krótka jej nowela o macierzyństwie jest raczej doskonale przetłomaczonym przez Kuncewiczową lekkim passażem, szkicem skreślonym na marginesie średniowiecznej epopei. Jest prosta i przejmująca w swej tragicznej opowieści o walce dwóch typów kobiecych: matki i kochanki i o katastrofie, którą rozpętało wokół siebie króciutkie życie małego Tjodolfa. Mądry i wnikliwy wstęp Marji Kuncewiczowej mówi czytelnikowi o twórczości Undset, widzianej także przez pryzmat dziejów miłości Krystyny i Erlenda.

⁂

M. A. Aldanow. „9 Thermidora". „Djabelski Most". „Spisek" (Tłom. J. Barski. Wyd. J. Przeworskiego). „Jako powieściopisarza interesowały mnie w pierwszym rzędzie nie wypadki historyczne, ani zjawiska polityczne, lecz żywi ludzie", mówi sam autor we wstępie do „Spisku", a gdzieindziej powtarza te słowa sam jego bohater Staal: „Konwent, konwent, a w rezultacie nic takiego: ludzie jak ludzie!"

Trylogja Aldanowa, ukazując nam w przekroju oblicze Europy w dobie rewolucji francuskiej i Napoleona we Francji, Katarzyny i Pawła w Rosji, przybliża nas do tego obrazu na odległość spojrzenia młodego i pospolitego współczesnego chłopca, przywraca znanym z historji obrazom krew, kolor, pewną realną przyziemność, zdrowy humor i niezaprzeczone życie. W zmiennym ciągu obrazów przyglądamy się wraz z niemądrym Staalem dworowi Katarzyny i jej śmierci, egzekucji żyrondystów, zamachowi 9 Thermidora i przejściu Suworowa przez Alpy. Rozmawiamy z Pittem, Talleyrandem, Robespierrem, Fouchëm i Napoleonem, Kantem i hrabią Pahlenem, zabójcą Pawła. Aldanow chce w tem zwierciadle wielkich zdarzeń odbić postacie wielkich ludzi Rosji w sposób jaknajbardziej korzystny i równy skalą i znaczeniem bohaterom zachodniej Europy. Rezultatem tej jego idei przewodniej oraz skłonności do uwspółcześniania i demaskowania jest pewne pomniejszanie wielkości, barwna rubaszność, której dopełnieniem i przeciwstawieniem jest zgryźliwa metafizyka Pierre'a Lamorta, tajemniczego filozofa, wędrującego po Europie i po kartach trylogji Aldanowa, który niby Chimera z Notre Dame patrzy „bezdusznemi, głęboko osadzonemi oczami w przepaść, gdzie krzątają się ludzie".

⁂

Aldous Huxley. „Ostrze na ostrze". (Przekład Marji Godlewskiej. Wyd. „Rój"). Wyrafinowana w swym intelektualizmie powieść Huxleya, o skomplikowanym kontrapunkcie karjer, namiętności, umysłowości współczesnego społeczeństwa angielskiego, przetłomaczona została ostatnio na język polski. Tłomaczka szczęśliwie przezwyciężyła trudności wyszukanego języka i przeplatających się wątków, uprzystępniając w ten sposób w formie dostępnej i kulturalnej jedną z najwybitniejszych powieści angielskich ostatnich lat.

⁂

„Radetzky marsch" *Józefa Rotha*, autora świetnego „Hioba", należy do typu powieści pokoleniowej, równie jak Forsytesaga, czy Boodenbrockowie Manna. Treścią książki są dzieje trzech pokoleń austryjackiej rodziny, z których dziadek był zwycięzcą z pod Solferino, a syn i wnuk wyrastają w tradycjach wojskowych austryjackiej monarchji pod wysoką opieką tyle lat panującego cesarza — Franciszka Józefa. Książka jest wstrząsającą satyrą na biurokratyczno - militarne stosunki w przedwojennej Austrji i na ostatnie lata rozpadającego się cesarstwa.

Głodówka

(FELJETON)

Jeżeliby jakiemu towarzystwu pacyfistycznemu, albo którejś tam z rzędu konferencji rozbrojeniowej przyszła myśl założenia muzeum narzędzi walki w ich historycznym rozwoju, to pierwsze miejsce zająłby kamień, a ostatnie — w długim łańcuchu — tuż za gazami trującemi — głodówka, jako „ostatni krzyk" sposobu walki.

W tym długim szeregu narzędzi ataku i odporu spotkamy głód już poraz drugi, lecz w zgoła inny sposób stosowany. Dawniej stosowano głód do nieprzyjaciela, a więc naprz. w r. 1870 usiłowano wygłodzić Paryż; podczas wojny światowej przez zastosowanie blokady głodzono Niemcy. Obecnie broń odwrócono i głodówkę stosuje się do siebie samego. Optymiści gotowi są wyciągnąć ze zjawiska tego najbardziej pocieszne wnioski, jak np. że ludzkość do tego stopnia wyszlachetniała, iż najzagorzalszy wróg nie zniesie widoku ginącego z głodu przeciwnika i momentalnie kapituluje. Nic błędniejszego!

Po Gandhim, po inwalidzie Czemerysie, po głodomorach, maszerujących na Londyn, przyszła kolej... Lecz nie wyprzedzajmy wypadków.

Przed paroma dniami wpada do mego gabinetu 9-letni Maciuś i w najbezczelniejszy sposób oświadcza:

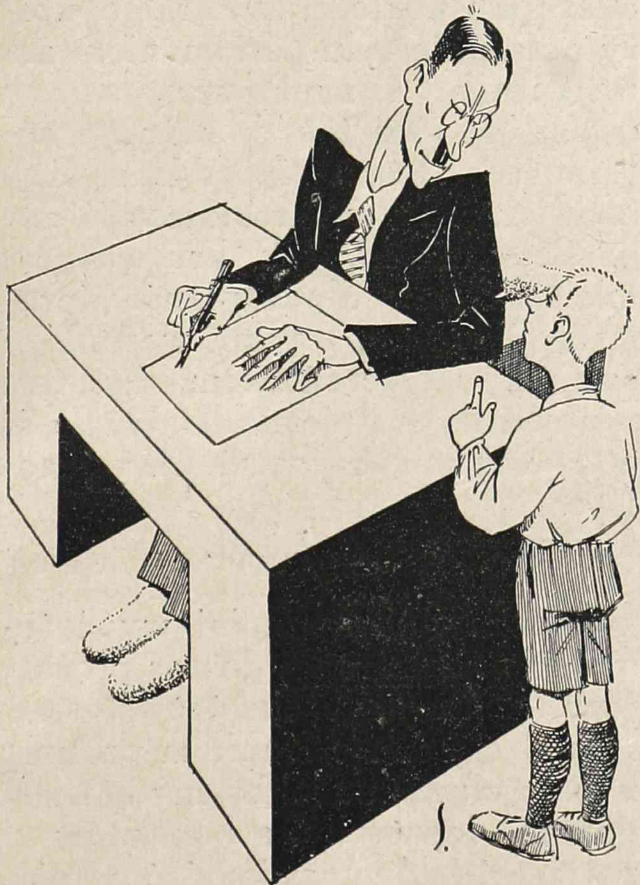
— Tato, ja nie odrobię na jutro lekcyj, bo chcę dzisiaj pójść do kina, a ponadto kupisz mi narty.

Zaskoczony tym niebywałym u Maciusia tonem, huknąłem:

— A to co znowu? Jak ty mówisz do mnie, smarkaczu! I co to za kaprysy?

— To nie kaprysy — odparł spokojnie Maciuś — to są żądania. Jeżeli nie spełnisz, to ogłaszam głodówkę.

Wyrzuciłem smarkacza za drzwi i zabrałem się do przerwanej pracy.



Gdy późnym wieczorem wróciłem do domu, dowiedziałem się od żony, że malec od obiadu nic nie jadł, pomimo, że żona zgodziła się już, by nie odrobił lekcyj i że była z nim w kinie. Czekał na narty.

— Ha, chłopak ma charakter — rzekłem — i to należy w człowieku cenić, skoczę z samego rana na miasto i kupię mu narty.

— Charakter? Ty to nazywasz charakterem? To jest upór, a nie żaden charakter. Dzieciak uparty, jak kozioł. Miał się zresztą w kogo wdać — dorzuciła zjadliwie.

Tym „kimś", w którego wdał się dzieciak, to mam być ja. Nie protestowałem. Przyzwyczaiłem się, że we wszystkich sprawach moja żona ma własne zdanie.

Około 12-ej przyniosłem do domu narty. Maciuś tryumfował i przerwał głodówkę.

— A wiesz — powiedziałem do żony — to dobry sposób. Wartoby go zastosować.

Nie zdążyłem dokończyć zdania, gdy do pokoju wpadła nasza Frania, wiejska niewinność do wszystkiego.

— Psze pana, chcom zamknąć lekstrykę!

Mrugnąłem do żony, która w tej chwili wyprawiła Franię do kuchni, a do gabinetu sprowadziła technika z Elektrowni.

— Oto mój mąż — rzekła — już tydzień głodzi się. Nic nie je i nic nie pije. Sześć kilo mu ubyło. I będzie tak długo głodził się, dopóki nie obniżycie ceny prądu.

Na twarzy montera malowało się przerażenie.

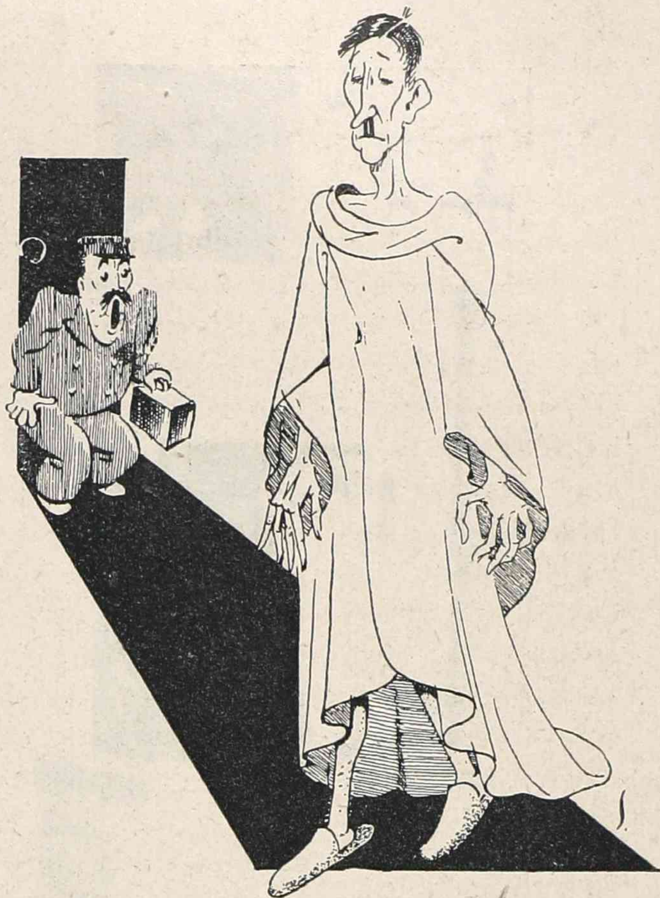
— Jak? Co? — pytał zdumiony.

—To pan nie wie? W gazetach było, ale widocznie pan nie czytał!

Ja tymczasem leżałem wyciągnięty na otomanie i usiłowałem upodobnić się do Gandhi'ego.

Monter spojrzał na mnie ze współczuciem, poczem, przedstawiwszy dyrektorowi przez telefon całą okropność sytuacji, na palcach opuścił mieszkanie.

Próba wypadła wyśmienicie i obecnie codzień, a nieraz kilka razy dziennie, urządzamy takie przedstawienie. Chodzę po mieszkaniu w trepach i prześcieradle, a mój sublokator, uczeń szkoły dramatycznej, co rano charakteryzuje mnie na głodomora. Przestraszony gospodarz, nie otrzymawszy złamanego grosza, przysłał mi kwity z opłaconego komornego za kwartał zgóry, a firma „Kotpol", w której kupiłem żonie karakułowe futro, odesłała mi zaprotestowany weksel, rezygnując z zapłaty. Wogóle dobrze mi się teraz powodzi i uważam, że w obecnych kryzysowych czasach stanowisko, a raczej położenie, bo wciąż muszę kłaść się, zawodowego głodomora jest naprawdę godne zazdrości.



Raz jeden tylko sztuczka się nie udała.

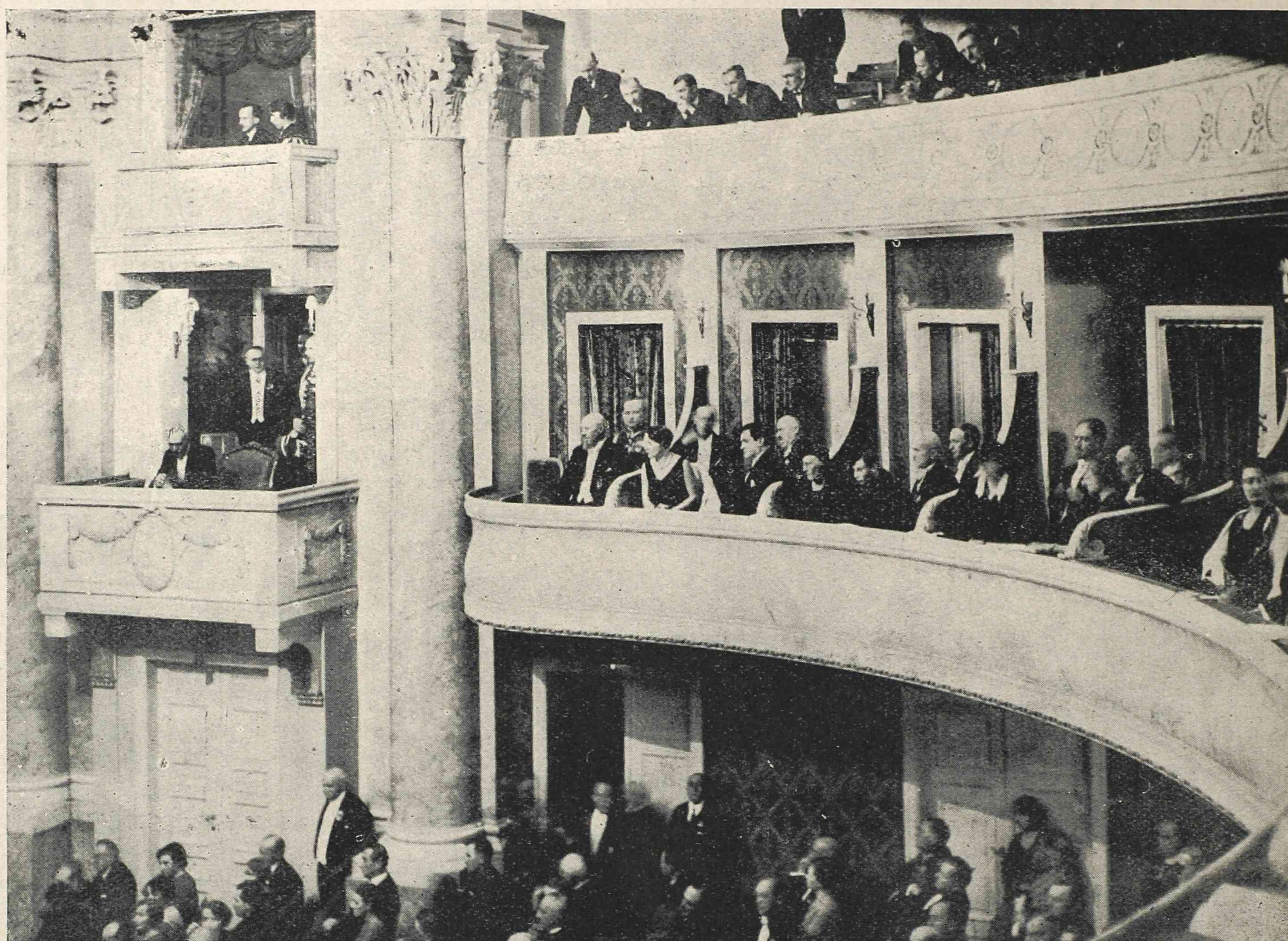
Było to wtedy, kiedy zgłosił się do mnie najgroźniejszy wierzyciel — żona. Wyczerpały się jej pieniądze otrzymane na życie i żądała nowych.

Momentalnie skoczyłem na otomanę „robić" głodomora.

Nie będę opisywał szczegółów zajścia. Tyle ich jest w codziennej kronice pism, że to staje się nużącem.

Krótko powiem, że obcy ludzie okazali o wiele, wiele więcej serca ginącemu dobrowolnie z głodu, niż rodzona żona.

Termidor.



W dn. 3 b. m. P. Prezydent Rzeczypospolitej zaszczycił swą obecnością przedstawienie „Wesela“. Przybyli też członkowie Rządu z premjerem Prystorem na czele, dyplomacja, generalicja i t. d. Fot. J. Malarski

Teatr a duchowieństwo

Od jednego z najpoważniejszych kapłanów warszawskich otrzymujemy list następujący, który ze względu na doniosłość poruszonej sprawy w całości przytaczamy:

„Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracam się do Pana Redaktora w kwestji drażliwej i dla ogółu może obojętnej, lecz dla pewnej grupy obywateli, a wielu Pańskich czytelników niezwykle doniosłej.

Chodzi mi o księży archidiecezji warszawskiej, którzy pozbawieni są możności bywania w teatrze. Wolno nam grać w karty, choćby przez całą noc, wolno ucztować, wolno słuchać radja bez ograniczeń, wolno oddawać się innym przyjemnościom, mniej godziwym od teatru, a z tej kulturalnej rozrywki korzystać nie wolno.

Dotyka to nas, kapłanów, najboleśniej w takich „chwilach osobliwych“, jak dzisiejsza, gdy cały Naród czci Wielkiego Poetę i Patrjotę przez słuchanie jego arcydzieł z desek scenicznych. Księża pozbawieni są tej rozkoszy duchowej. Pozbawieni są możności solidaryzowania się w hołdzie z całym Narodem. Potężne, wizjonerskie ideje „Wesela“ nie przemówią do nas, bo w czytaniu połowę przynajmniej uroku utworu dramatycznego zatraca się.

Naturalnie, że różne farsy, operetki, rewje nie są odpowiednie dla osób duchownych i nikt z nas ich nie pożąda. Ależ nie można przecież całego teatru przez to potępiać i odrzucać! Czyż wystawiony niedawno dramat Tołstoja „Car Iwan“ nie jest dla nas ciekawy, jako unaocznienie wyższości pojęć zachodnich, wyrosłych pod tchnieniem Katolicyzmu, pod wpływem Rzymu, nad skrajnościami Wschodu? Czyz klasyczny repertuar, jak „Skąpiec“, grany w Teatrze Narodowym dla młodzieży, nie jest odpowiedniem widowiskiem dla tych, co winni znać dusze ludzkie, aby je kierować ku dobru, ku wyżynie, ku Bogu?

Zwracam się więc do Szanownego Pana Redaktora z gorącą prośbą o poruszenie tej sprawy na łamach pisma, które swą bezstronnością, taktem i obywatelskiem stanowiskiem najbardziej się nadaje do jej podjęcia. Jestem przekonany, a jest to także zdanie innych kapłanów, że zakaz utrzymuje się siłą tradycji i że J. E. ks. Kardynał Kakowski, który tyle troski okazuje o wartości kulturalne, który patronuje tylu poczynaniom artystycznym i naukowym, zwróci uwagę na głos tak poważnego organu, jak „Świat“ i podda rewizji obowiązujący w Archidiecezji zakaz, tak ciężki, tak krzywdzący, tak szkodliwy dla kapłanów, pragnących czuć i myśleć wespół ze swojem społeczeństwem, by tem skuteczniej na nie oddziaływać w myśl wiecznych prawd Chrystusowych.

Proszę przyjąć i t. d.

*

Sądzimy, że najlepiej wywiążemy się ze zwróconej do nas prośby, jeśli wymowny i jakżeż słuszny głos Czcigodnego Kapłana podamy w całości; nie umielibyśmy bowiem dobrać lepszych argumentów i szczerzej ich wypowiedzieć od niego samego.

ŚWIAT TEATRU

Teatry Miejskie w Warszawie

W Teatrze Narodowym arcydzieło Wyspiańskiego *„Wesele"* w mistrzowskiej reżyserji Ludwika Solskiego i porywającem wykonaniu świetnego zespołu z Solskim, Malicką, Pancewiczową, Lindorfówną, Leszczyńskim, Brydzińskim, Junoszą i Węgrzynem na czele, idzie co wieczór przy wypełnionej do ostatniego miejsca sali i grane będzie nadal bez przerwy. W sobotę dn. 3 b. m. na uroczystem przedstawieniu, zorganizowanem przez Związek Legjonistów ku czci wielkiego twórcy „Wesela", obecny był P. Prezydent Rzeczypospolitej, rząd w komplecie z premjerem Prystorem na czele oraz cały korpus dyplomatyczny. Przedstawienie poprzedzone przemową Juljana Kaden - Bandrowskiego miało charakter odświętny. Gra artystów i dzieło poety wywarły na obecnych głębokie wrażenie.

Teatrze Nowym rekordowa *„Mademoiselle"* w nieporównanem wykonaniu Ćwiklińskiej, Dulęby, Lubieńskiej, Łapińskiego, Małkowskiego i in. dobiega do 80 przedstawień i grana będzie jeszcze przez kilkanaście wieczorów. W drugiej połowie b. m. pójdzie premjera 3-aktowej komedji Jerzego Berra *„Wszystko dla bliźnich"* (Les autres) w realizacji Karola Borowskiego z Samborskim, Macherską, Gryf-Olszewską i Brydzińskim, Bieganskim w rolach ważniejszych.

W Teatrze Letnim pod kier. dyr. Chaberskiego odbywają się ostatnie próby z zajmującej, efektownej komedji detektywnej angielskiego autora H. Jenkinsa *„Kobieta i szmaragd"*. W roli tytułowej Jadwiga Smosarska, w rolach męskich: Wesołowski, Kurnakowicz. Walter, Zbyszko Sawan. Do dnia premjery grana będzie zabawna komedja J. A. Hertza *„Podróż poślubna pana dyrektora"* z Smosarską, Grabowskim, Wesołowskim, Jarszewską, Orwidem. Walterem, Kurnakowiczem.

Chochołowe Curiosa

(Na marginesie dni Wyspiańskiego)

W Krakowie (mieście Wyspiańskiego!) wygłosił przed uroczystą premjerą „Wesela" odczyt pewien znany profesor geologji, w którym to odczycie wywodził, że Chochoł w „Weselu" to ni mniej ni więcej tylko — sam Wyspiański! Dowody: 1-o autor „Wesela" został zaproszony do Bronowic osobiście przez pana młodego (Rydla) i pannę młodą (Jagusię Mikołajczykównę) — na co są świadkowie przed kościołem Marjackim. 2-o. Wyspiański miał bladą żółtawą cerę, tudzież włosy, wąsy i brodę słomianego, pożółkłego koloru. 3-o. Przyjechał do dworku Tetmajera późnym wieczorem, kiedy „wicher dął". 4-o. Przestraszył młodziutką pannę Tetmajerównę (Isię).

Teatr krakowski nie poszedł za odkrywczemi wskazaniami geo-teatrologa i Chochoł przedstawiony był tradycyjnie. Natomiast, aby idei nowinkarstwa stało się zadość, ucharakteryzowano na Wyspiańskiego aktora, grajacego.. Widmo. („Taki trupi wieje ciąg"..).

Ale to jeszcze nic. Daleko „osobliwiej" — żeby nie powiedzieć: skandaliczniej — postąpił sobie pan Jerzy Szyndler, młodzieńczy reżyser „Wesela" w teatrze miejskim w Łodzi. Oto połączył Chochoła i Wernyhorę w jedną *dramatis* personę! Nieprawdopodobne? A jednak — prawdziwe. Mało tego. Kazał grajkom w akcie 3-im grać — rumbę! Jeszcze mało. Umieścił na afiszu: „Dzieje się w roku 1932"...

Ej, chciałoby się pod adresem tych „poprawiaczy" strawestować słowa Nosa w „Weselu":

...Wyspiański, gdyby żył, toby — bił!

W antraktach na „Wesel u" posłyszane strzępy rozmów...

— Absolutnie, proszę was kolego, to jest głęboki, poetycki *reportaż* z przed 31 laty...

. . . .

— Solski gra cudownie, ale nie jest wcale podobny do Witosa?

— Bo Witos to Czepiec, nie Gospodarz.

— Alboż Witos bił kiedy żydów?

— Dlaczego nie? Jak był młodszy — z pewnością...

. . . .

— Wiecie, ten Wyspiański był zdecydowanym *filosemitą*. Przecież to żydóweczka Rachela miała właśnie ten genialny pomysł sprowadzenia na Wesele wszystkich zjaw przeszłości...

. . . .

— To jest arytmetycznie jasne, że Wyspiański był *antysemitą*. To żydowica Rachela pod pozorem, że „chce poetyczności dla nas", sprowadza na Wesele chochoła, żeby potem plunąć całemu społeczeństwu w twarz szyderstwem...

. . . .

— Zastanawiające jest, proszę was, dlaczego Gospodarz nie poznaje Wernyhory?

— Bo może Wyspiański miał kogo innego na myśli?

— Prawdopodobnie! Przecież — nazywa go: „Pan Dziad z lirą"...

— A właśnie: *Dziad*...

. . . .

Ładna strojnisia w latach balzakowskich:

— Nigdy nie byłam na „Weselu", bałam się, że to będzie bardzo smutne, a to takie śliczne; tyle dowcipu, tyle werwy... Junosza taki zabawny w roli pijaka! Ogromnie żałuję, że mąż nie dał się namówić. Byłby się zabawił.

. . . .

Starszy uroczysty pan z wypieszczoną brodą:

— Nie ulega wątpliwości, moi panowie, że ten *człowiek* miał talent....

el.

W kilku wierszach

— W Rydze, w gmachu Teatru Rosyjskiego, zainaugurowano w tych dniach doroczny sezon Teatru Polskiego pod dyrekcją Wł. Czengierego. Na inauguracyjnem przedstawieniu — ze względu na 25-tą rocznicę śmierci Wyspiańskiego — odegrano „Sędziów" i „Warszawiankę", poprzedzone prelekcją prof. Krzyżanowskiego.

— Znany i nadzwyczaj płodny komedjo-pisarz francuski Ludwik Verneuil napisał trzy nowe komedje: *„Course à l'étoile"*, *„Avril"* (do spółki z J. Berr'em) i *„Une femme ravie"*. Dwie ostatnie grane są już obecnie. Rolę tytułową „pochwyconej kobiety" gra Elwira Popescu.

— Zmarł w swojej posiadłości w Prusach Wschodnich powieściopisarz niemiecki — z pochodzenia mazur — Ryszard Skowronek, autor jedynej sztuki teatralnej „Husarenfieber", która wystawiona na scenach niemieckich przed laty dwudziestu pięciu, grywana jest do dziś, jako jedna z najulubieńszych sztuk popularnego repertuaru.

Polemika na tle wspomnień o Wyspiańskim

W związku z drukowanemi przez nas „Wspomnieniami o Wyspiańskim" p. Jana Rolicza, otrzymaliśmy dwa listy — jeden od p. Idalji Pawlikowskiej, drugi od p. z Turowskich L. Noskowskiej — oba z Krakowa. — Pani Idalja Pawlikowska konstatuje, że nieprawdą jest, jakoby p. Roliczowi lub komukolwiek opowiadała o przytoczonych we „Wspomnieniach" faktach z życia L. Rydla, gdyż poznała osobiście Rydla dopiero po ślubie i wyraża oburzenie, że w tak złośliwy sposób przytoczone są obrazki z życia tak wielkiego poety i szlachetnego człowieka, jakim był Lucjan Rydel.

Pani L. Noskowska również wyraża w najwyższym stopniu oburzenie z powodu umieszczonego ustępu o jej kuzynie, ś. p. Tadeuszu Noskowskim.

Poza tem w obu listach wyrażany jest prawie identyczny protest przeciw charakterystyce p. Józefy Singerówny, przyczem obie panie podnoszą jej zacność, szlachetność, uczynność, człowieczeństwo, oraz wysoką inteligencję. Autorki obu listów idą tak daleko, że posądzają autora wspomnień, iż na weselu Rydla wcale nie był.

Listy powyższej treści z obowiązku redakcyjnego przesłaliśmy p. Roliczowi, na co otrzymaliśmy następującą odpowiedź:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Pisząc moje wspomnienia o Wyspiańskim i „Weselu", nie przypuszczałem, że znajdą one taki oddźwięk i tyle wywołają refleksów. Najserdeczniej przepraszam wszystkich tych, których wspomnienia nie pokrywają się ściśle z memi wspomnieniami.

Wszak działo się to trzydzieści dwa lata temu. Nie we wszystkich detalach pamięć mamy wszyscy świeżą i niezawodną. Istotnie, mogłem się mylić, że ten czy inny fakt słyszałem od tej a nie od innej osoby, ale ręczę za same zdarzenia, bo te zbyt blisko i silnie przeżyłem, by mogły tak łatwo zatrzeć się w mej pamięci. Lucjana Rydla, jako poetę i człowieka, wysoce ceniłem, co też w swych opowiadaniach parokrotnie akcentowałem.

Natomiast inni, i to ludzie bardzo bliscy Wyspiańskiego i Rydla, ku mojemu naprawdę zdziwieniu pisali jednocześnie ze mną w ten sposób: „Rydla Wyspiański nie lubił. Już wtedy rysowała się ta różnica charakterów, która dzieliła ich także później. Rydel był wielkim blagierem... Wyspiański miał charakter niezwykle prawy, na którym można było murować. O Rydlu powiedzieć tego nie można" i t. d. i t. d. („Gazeta Polska" z dn. 27. XI. 32. Dr. Jan Lachs, prymarjusz oraz autor wielu prac literackich w „Przegl. Współczesnym").

I to mówi o Wyspiańskim i Rydlu ich bliski kolega od szkolnej ławy; — jakże różni się ta ocena Rydla od mojej. A jednak nie spotkał jej zarzut nieprawdomówności; — boć to tylko wyrażony był subjektywny sąd, który może być u różnych osób zupełnie odmienny.

To samo dotyczy panny Pepki. Zawsze szanowałem jej zalety charakteru, jej szlachetność. Ale cóż robić! Przed 32 laty wydawała mi się jeszcze pełną wdzięku karczmareczką i cieszę się obecnie niewymownie, że teraz zapewne dzięki wielkiej pracy doszła do najszczytniejszych, wyżyn i zalet towarzyskich.

Śmiem jednak prawie być pewnym, że nie na ślubie, ale na czepinach i to wieczoru, kiedy był Wyspiański, była w stroju nieściśle bronowickim, ale „z ludowa" ubraną i nie rozumiem, co w tym detalu dopatrzeć się można godnego protestu; — przeciwnie, chciałem tylko podnieść dużą dozę skromności i chęci niewyróżniania się panny Pepki, tej z przed trzydziestu dwóch lat.

Najtrudniejsze dla mnie będzie ułagodzenie rodzinnego sentymentu do ś. p. Tadeusza Noskowskiego pani L. Noskowskiej, tem trudniejsze, że wchodzą tu w grę sprawy uczuciowe. Upewnić jedynie mogę, że „Tadzio" zarówno dla rodziny, jak i dla mnie pozostał najserdeczniejszem, najszlachetniejszem wspomnieniem, szczególnie z okresu jego parotygodniowych wycieczek pejzażowych do Tyńca, Bronowic czy Tenczynka, kiedy całą piersią chłonął wieś polską. Był on istotnie w porównaniu z innymi swoimi kolegami lepiej sytuowany, niestety dobre, złote serce i koleżeńskość bardzo szybko wyczerpywały jego akademicki portfelik.

Nie mogę jednak zgodzić się, by właśnie ten szczery, kochany „Tadzio" był zachwycony charakterem wesela rydlowskiego, a właściwie jego rozreklamowaniem. — Zanadto była ukochana przez niego prosta, szczera wieś polska, by dogadzało mu robienie z niej dziwowiska. Nic też dziwnego, że wielki Twórca Wesela nie przeoczył Nosa, wprowadzając go na scenę.

Dziękuję serdecznie za zwróconą mi uwagę, że śmierć ojca ś. p. Noskowskiego nastąpiła istotnie w parę lat później, bo zdaje mi się w roku 1909.

Jakżeż trudne jest ustalenie faktów po trzydziestu latach, szczególnie, jeśli się opierać na twierdzeniach najbliższych, gdy za nimi stoi autorytet „bliskości".

Przed kilkunastu dniami w „Expresie porannym" czytam przedruk wywiadu z najbliższą rodziną Wyspiańskiego. W tym wywiadzie jedna z osób najbliższej rodziny opowiada, że Wyspiański posiadał apartament, złożony z 8 pokojów, gdy dalej stojący p. Adam Chmiel twierdzi w „Gazecie Polskiej" z dn. 27. XI. 32 r.: — „Artysta żył w wielkiej biedzie. Bywało, że żona za dziesięć centów dziennie musiała wyżywić siebie i dzieci".

W jakiem przeciwieństwie z p. Dr. Lachsem stoją też wywody, co do nastrojów rodzinnych, podane również przez jedną z najbliższych osób, bo samą żonę.

Łączę wyrazy i t. d. i t. d.

Jan Rolicz.

Z Pierwszej Wystawy Muzycznej w Warszawie

W głównej sali po lewej stronie rzuca się w oczy zwiedzających b. efektowne stoisko fir. J. Kerntopf i Syn Sp. Akc. (Warszawa, Szpitalna 9). Widzimy tu nowoczesne modele fortepianów i pianin, specjalnie zwraca uwagę piękny fortepian w stylu „Chipendale". Fortepiany i pianina fabryki J. Kerntopf i Syn Sp. Akc. ze względu na ich estetyczne wykonanie jak i wysoki poziom techniczny, oddawna już zajmują przodujące stanowisko w przemyśle fortepianowym. Na wybitnie świetną renomę fabrykatów fir. J. Kerntopf i Syn złożyło się 92 lata usilnej pracy popartej fachową wiedzą i doświadczeniem kilku pokoleń właścicieli firmy. Uważam, że zwiedzająca publiczność niewątpliwie zatrzyma się dłużej przy stoisku fir. J. Kerntopf i Syn Sp. Akc. celem uważnego obejrzenia naprawdę artystycznych eksponatów.



Fot. S. Reutt



Zaraz przy wejściu na I-sze piętro zwraca uwagę stoisko znanej od lat kilkudziesięciu firmy radjo-gramofonowej „Adam Klimkiewicz" (Warszawa, Marszałkowska № 154). Firma ta przedstawia na wystawie gramofony własnego wyrobu, odbiorniki i lampy radjowe „Philippsa", oraz odbiorniki i głośniki własnego wyrobu. Powszechny zachwyt wzbudza odbiornik trzylampowy z wbudowanym głośnikiem dynamicznym. Czysty i donośny odbiór tego aparatu jest wprost zdumiewający. Jednocześnie należy podkreślić, że aparat ten odznacza się nadzwyczajną selektywnością i umożliwia odbieranie prawie wszystkich stacji europejskich. Dla prawdziwych amatorów audycji radjowych aparat ten jest naprawdę niezastąpiony. Każdy ze zwiedzających P. W. M. powinien choć chwilę uwagi poświęcić temu odbiornikowi.

Fabryka „Tytan" (Warszawa Tamka 14, tel. 610-64), demonstruje na Pierwszej Wystawie Muzycznej baterje do radja Baterje te odznaczają się wielką trwałością, — magazynowane przez dłuższy czas nie podlegają zepsuciu. Dzięki temu są one rozpowszechnione w całym kraju i cieszą się wielką popularnością wśród radjoamatorów. Oprócz baterji firma „Tytan" wystawia także inne swoje wyroby, a mianowicie: ogniwa i latarki. W tej dziedzinie firma zajmuje również przodujące stanowisko jako najstarsza krajowa wytwórnia tego rodzaju artykułów, istniejąca już około lat 50 (rok założenia 1884).





Firma B. Rudzki zaprezentowała na wystawie wysokiej klasy gramofon „Orpheon" jako też nowy wynalazek w postaci „powtarzacza" własnego patentu. Wynalazek ten oddaje specjalne usługi przy nauce języków. Wzbudził on ogromne zainteresowanie.

F. B. Rudzki posiada jedno z najestetyczniejszych stoisk; Zwraca ono specjalną uwagę przez piękne dobranie kolorów oraz efektowne

Dalszy ciąg rep… tażu z P. W. M, … że się w następ…

OSTATNIE MODY PARYSKIE







Wytworny kapelusik, przybrany piórem i woalką w drobne groszki

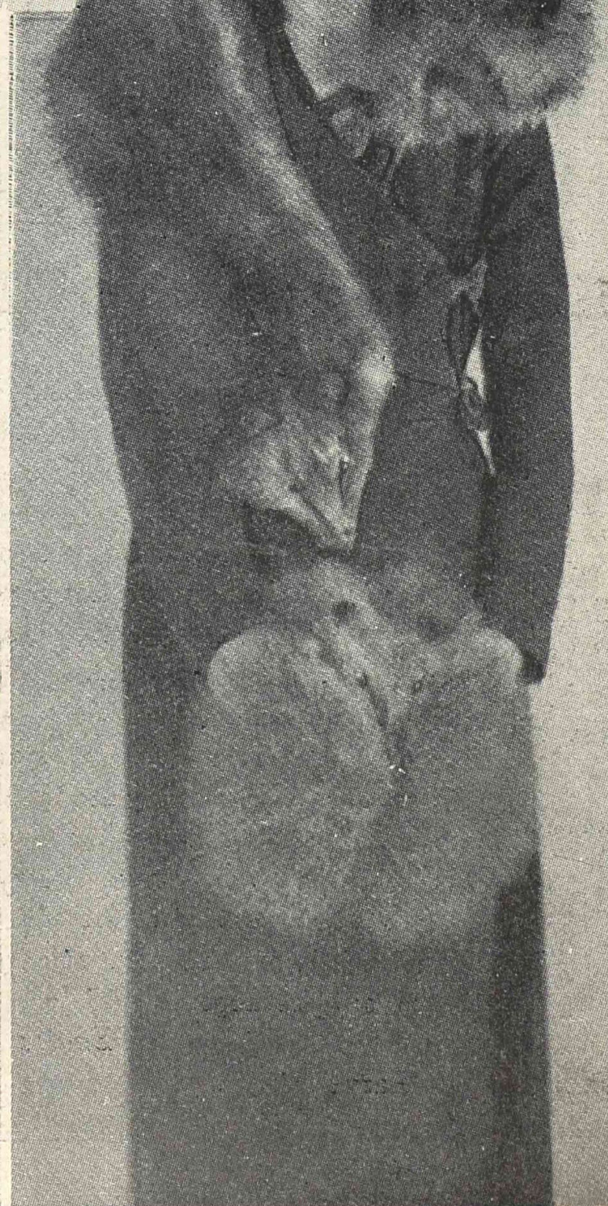
Wieczorowy strój z matowej zielonej krepy, przybrany srebrnym lisem

Wspaniała toaleta wieczorowa z czerwono-wiśniowego jedwabiu z obnażonemi plecami

Suknia wieczorowa z czystej wełny z głębokiem wcięciem

Czarny płaszcz, przybrany futrem. Mufka może zastąpić mankiety







Ciemnobronzowy płaszcz z lisim

Najnowsze prądy w modzie

(Korespondencja własna „Świata" z Paryża)

Z wybiciem 3 godziny popołudniu salony modnego krawca paryskiego zapełniają się wytworną publicznością, a w chwilę potem rozpoczyna się defilada manekinów, przybranych w najnowsze kreacje sukien, okryć i kapeluszy.

Ilość defilujących manekinów jest tak imponująca i tak różnorodna, że po dwugodzinnej „modnej paradzie" wychodzi się stamtąd w stanie zupełnego oszołomienia.

W tym roku wyjątkowo wśród najbardziej znanych paryskich krawców nastąpiły pewne separatystyczne dążenia, które dadzą się sformułować w sposób następujący: talja umieszczona nisko, talja w pasku i talja ujęta wysoko.

Te trzy formułki, które dla matematyków nie przedstawiałyby żadnych trudności do rozstrzygnięcia, w sferze zainteresowanych są silnie komentowane, krytykowane i blamowane. Oczywiście, w zależności, czy danej kobiecie bardziej odpowiada formułka mistrza z rue St. Florentin, z Faubourg St. Honoré, czy też z rue de la Paix.

Jean Patou, z rue St. Florentin, wzorując się na strojach z epoki średniowiecznej, wprowadził talję, umieszczoną nisko, a raczej na biodrach, zlekka ją zaznaczając paskiem inkrustowanym. Idea śmiała, pełna brawury, godna takiego nowatora, jak Patou, który zrywa obecnie z tradycją. Lubując się w prymitywach flamandzkich, wprowadza on do swej kolekcji kolory ciemno-bronzowe (couleur de bure).

Jeanne Lanvin, drugi leader kunsztu krawieckiego, stosuje umiarkowanie do swych pomysłów najbardziej nawet oryginalnych. A więc wbrew Patou, obstaje, by talja była w pasku. Suknie wychodzące z atelier pani Lanvin są również pełne harmonji zarówno w ujęciu, jak i doborze kolorów. Złocisto-bronzowy kolor liści spadających jesienią, czerwony, czarny i wreszcie fijołkowy, przezwany „kardynalskim", dominują w obecnej kolekcji Jeanne Lanvin.

Schiaparelli z rue de la Paix lubuje się w prymitywach włoskich, ona też modernizując primaverę Botticellego, zastosowuje harmonijnie spadające szaty do obecnej paryżanki. W kolekcji Schiaparelli stan umieszczony jest dość wysoko.

W dziedzinie materjałów karjerę zrobił w tym roku aksamit, przezwany „velours paysan". Jest to połączenie jedwabiu sztucznego z prawdziwym.

„Velours paysan" bywa w najrozmaitszych kolorach, nawet jaskrawych. Madeleine Vionnet używa je na suknie wieczorowe, aby żywe kolory mogły przeciwdziałać rozmyślaniom nad dzisiejszym smutnym stanem finansowym.

Niektórzy mistrze krawieccy robią wysiłek w celu przystosowania się do obecnych ciężkich czasów. A więc dawne suknie popołudniowe, tak zwane od 5-ej do 7-ej, zamienione zostały na „suknie od 6-ej do północy", to znaczy, że suknia, włożona na zebranie bridżowe, z łatwością może się przedzierzgnąć w wieczorową tualetę. W tym celu wystarczy zdjąć zarzutkę, jaką nosiły ongiś nasze prababki, i natychmiast ukazać się w tualecie dekoltowanej z obnażonemi ramionami.

Ten „oszczędnościowy" system ubierania się czasami zakrawa na humoreskę, gdyż często zarzutki zrobione są z gronostajów lub innego kosztownego futra. Ale zasada jest pod znakiem budżetu oszczędnościowego, a o to przecież chodzi!

Gronostaj w tym roku odgrywa wielką rolę we wszystkich kolekcjach. Kolor czarny, jak zawsze, jest jednym z bardziej ulubionych kolorów Paryżanki, a przybrania z białego futra nadają mu miękkość, to też widzimy nietylko szale, kołnierze i kołnierzyki, ale nawet całe rękawy, modne bufki, odrobione ze śnieżno białego futra.

Jedną z nowości, wprowadzonych ostatnio, są boa z piór, riusze z tiulu i aksamitu, które, zalotnie zarzucone na ramiona lub zapięte wokół szyi, zależnie od intencji kobiety, dodają jej bądź kokieterji i filuterności, bądź czynią z niej modną „Vamp". Widoczny wpływ Marleny Dietrich, która w głośnym filmie „Shanghaj Express" kusicielską rolę odegrała w boa z piór.

Jak widzimy, pomimo kryzysu, Paryż silnie dzierży w swych rękach berło mody i walczy wszystkiemi siłami o prawo supremacji na świecie.

Ostatnio Hollywood, owo centrum gwiazd kinematograficznych, zaczęło tworzyć własne modele, bardziej może zastosowane do wymagań i gustów bywalców kinematografów, ale palmy pierwszeństwa nie jest w stanie odebrać Paryżowi. Składa się na to nietylko tradycja, ale też kolosalny wysiłek krawców i tych wszystkich, którzy w pewien sposób przyczyniają się do odnowienia mody i wprowadzenia rok rocznie czegoś oryginalnego.

Emilja Brunerowa.

Paryż.

jego uczestnicy ubiegają się o cenne nagrody, prześcigając się w pomysłach.

Autor najlepszego hasła otrzyma I nagrodę w sumie Zł. 150.— gotówką, inni zaś będą zdobywali nagrody: II — kupon na 100 zł. do wybrania wyrobami firmy „Antiba" i L. Spiess i Syn, III — kupon na 50 zł., IV — kupon na 25 zł. i wreszcie 10 premji, stanowiących pewnego rodzaju nagrody pocieszenia, w postaci wyrobów tychże firm.

Wszyscy, zamierzający stanąć do konkursu, mają jeszcze tydzień do wynalezienia najlepszego, najlapidarniejszego i najwymowniejszego krótkiego hasła. Zgłoczenia w myśl warunków podanych w Nr. 49 „Świata" z dn. 3 b. m. nadsyłać można do dnia 17 b. m. do administracji „Świata", Szpitalna 12.

Tegoż dnia zbierze się jury, złożone z przedstawicieli świata artystycznego, literackiego, prasy, i przemysłu.

Nagrodzone hasła i nazwiska autorów ogłoszone zostaną w gwiazdkowym numerze „Świata". Tydzień jeszcze pozostał. Nie traćcie więc czasu i ubiegajcie się o piekne nagrody, jakie przeznaczyła dla Was fabryka „Antiba", dając nietylko doskonałe środki do zębów lecz i możność zdobycia cennych upominków na gwiazdkę dla siebie i swoich najbliższych.

Malować się, czy nie?

Nie tak groźne, co prawda, jak hamletowskie: „być albo nie być", ale dla ogółu kobiet bardzo doniosłe zagadnienie.

Maquillage istniał od najdawniejszych czasów; w różnych epokach odnajdujemy ślady, dowodzące wielkiego wyrafinowania w tej dziedzinie, która nietylko dla kobiet, lecz również i dla brzydszej połowy rodu ludzkiego nie była obojętna. Wspomnijmy choćby czasy Rokoka, w których przesada w upiększaniu się dochodziła do absurdu.

Prawda, że sztuczne upiększanie się w owej epoce było tylko udziałem uprzywilejowanych sfer. Obecnie czasy się zmieniły. Sfer uprzywilejowanych niema, więc upiększamy się wszyscy.

Jakiemi drogami dochodzimy do tego — obojętne. Czy to gimnastyka, dyeta, masaże, maquillage, — każde z osobna czy wszystkie razem, byle stosowane mądrze, a przedewszystkiem indywidualnie — mogą nas zaprowadzić do tego celu.

Pojęcie piękności uległo, jak i obecny tryb życia, dużym zmianom. Powiedzenie „naturalia non sunt turpia" jest już, jeśli nie przestarzałe, to przynajmniej nie bez zastrzeżeń. Owszem, natura również nie poskąpiła swych darów, a zwłaszcza najwięcej cenionego, jakim jest urok młodości, ale niestety nie każdy ma siedemnaście lat.

A jeśli ma się ich dużo więcej, zaś życie wciąż wymaga maximum wysiłków i wyrzuca poza zawiasy wszystko, co zmęczone, więc dlaczego nie starać się o spotęgowanie wartości, jakiemi są: estetyczny wygląd zewnętrzny, miły uśmiech i promienne oczy.

Kosmetyka naszych czasów, mając na swe usługi wzorowe laboratorja chemiczne, opiera się na podstawach naukowych. Fizyka, medycyna, hygjena — dzielnie jej sekundują. Jak daleko za nami pozostały te czasy, kiedy wiedzę upiększania posiadały jedynie babki wiejskie, odczyniające uroki i warzące zioła i maści w tajemnicy, o północy, na cmentarzysku.

Dzisiejsza kobieta wie dobrze, czy ma suchą, czy tłustą cerę. Umie rozróżnić kremy, które odżywczo wpływają na skórę, odrzuca preparaty, oddziaływujące szkodliwie. Pozbyła się buduarowych wdzięczków, „waporów". Dzisiejsze pojęcie piękności kobiecej chodzi w parze ze zdrowiem i sportami. Uroda pozbawioną jest hypokryzji. Może nawet do przesady.

Maquillage w tramwajach i lokalach publicznych jest rzeczą przyjętą. Możeby kuchnię upiększania, tak jak mycie zębów, należało uskuteczniać intymniej. Ale trudno! Zdaje się, że jest to jeszcze jeden niewinny sposobik kokieterji.

Istnieje jednak pewne niebezpieczeństwo, któremu należałoby się przeciwstawić.

Piękność dzisiejsza zaczyna być masowym produktem. Ułatwienia w tej dziedzinie, w postaci licznych salonów piękności, sprawiają, że nie każda z nas zadaje sobie trud, aby wydobyć indywidualny wdzięk czy wyraz twarzy. Stąd, idąc po linji najmniejszego oporu, wiele kobiet powiększa swą standaryzowaną maską szeregi jednakowo napacykowanych twarzy à la wampir, czy lalka.

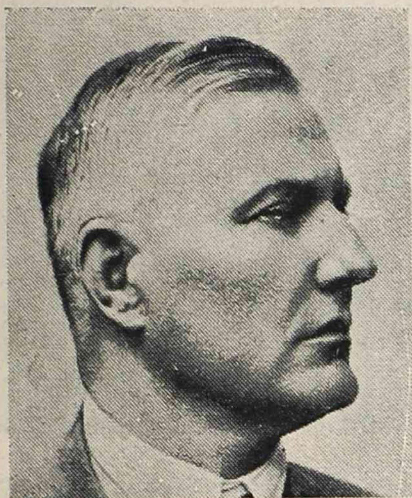
To też, dopóki malowanie nie będzie miało celu podkreślenia i spotęgowania osobistego uroku, harmonizującego z wewnętrznym wyrazem, stoimy pod znakiem banału i zatracenia indywidualności, których nie uratują ani flakony, ani pudełka z wdziękami martwemi.

(le)

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Kazimierz Dunin-Markiewicz

Kazimierz Dunin-Markiewicz, — artysta malarz, literat i dziennikarz, zmarł w 57-ym roku życia, po długich cierpieniach. Była to jedna z najbardziej interesujących postaci naszej cyganerji artystyczno - literackiej, przedziwny amalgamat rozmachu i bujności kresowej z wykwintem kultury zachodnio-europejskiej. Markiewicz pochodził z kijowszczyzny— dwa dziesiątki lat blisko spędził w Paryżu, Londynie i Dublinie. Żonaty ze słyn-



ną przywódczynią irlandzkiego ruchu narodowego, wszedł mimowoli w krąg niezwykłych przeżyć i wydarzeń. Lecz Markiewicz wszędzie i zawsze pozostawał sobą: nęciły go tylko sztuka, teatr i radości życia. Kochał to, co przychodziło łatwo i bez męki twórczej. To też i jego dorobek artystyczno-literacki, mimo niewątpliwego talentu, miał cechy pośpiechu, czynił wrażenie, że Markiewicz malował i pisał raczej, aby żyć, niż żył, aby malować i pisać.

Humor nie opuszczał go nigdy, w najcięższych nawet przeprawach, — humor szczerze polski, dobroduszny, w niespodziewanej pomysłowości konceptów niewyczerpany. Ale zwłaszcza niewyczerpaną była jego ochota do życia. Ta jednała mu wszędzie przyjaciół, a cnota lojalności, którą w wysokim stopniu posiadł, — cnota w Polsce tak rzadka, — owe stosunki przyjaźni umacniała.

Adolf Nowaczyński i Kornel Makuszyński, nasi polscy Murger'owie, powinni utrwalić pamięć Markiewicza. Jego *„vie romancée"* byłaby opowieścią wysoce zajmującą.

Ś. p. Bolesław Pfeiffer

Ś. p. Bolesław Pfeiffer, przemysłowiec i obywatel m. st. Warszawy, urodził się



w 1885 r., po ukończeniu gimnazjum im. E. Rontalera odbywał praktykę zagranicą, po której ukończeniu w 1906 r. powrócił do Warszawy i objął, jako współwłaściciel firmy, stanowisko kierownika fabryki zakładów garbarskich „B-ci Pfeiffer", na której to placówce po zostawał do chwili zgonu.

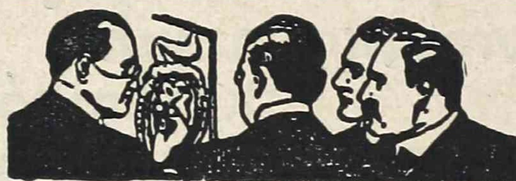
Zmarły przemysłowiec przyjmował bardzo czynny udział w życiu społecznem i gospodarczem naszego kraju, interesując się żywo wszelkiemi poczynaniami. na polu tworzenia rodzimych społecznych placówek z chwilą odzyskania niepodległości naszej Ojczyzny. Ś. p. Pfeiffer zajmował stanowisko prezesa polskiego Zjednoczenia przemysłowców garbarskich, był ławnikiem w pierwszych sądach polskich — oraz członkiem komisji podatkowych.

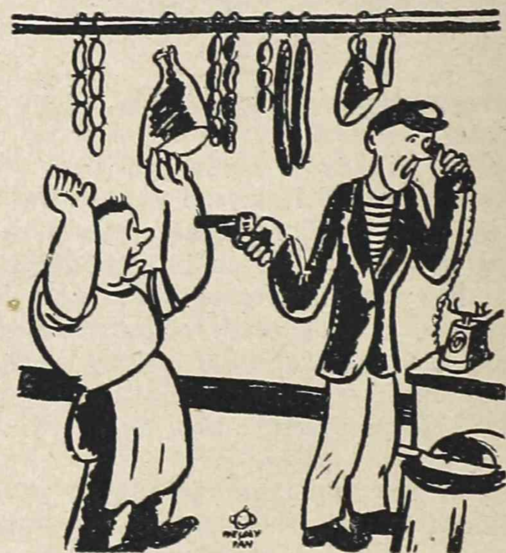
Zmarły będąc człowiekiem charakteru prawego i obdarzony dobrocią serca zjednywał sobie szacunek. uznanie oraz ogólną sympatję nie tylko wśród przyjaciół, lecz również w szerokich kołach naszego społeczeństwa.

Zmarł nieoczekiwanie dn. 30 listopada r. b. w pełni sił. pogrążając w głębokim żalu osieroconą rodzinę.

Cześć Jego pamięci.







— **Jestem właśnie w wędliniarni. Co wolałabyś na obiad, kochanie, szynkę czy świeżutką kiełbasę?**
(„Gutierrez", Madryt")





„PIEŚŃ NOCY" (APOLLO)

Jan Kiepura śpiewa. Już te słowa dają posmak sensacji. Zainteresowanie dosięga zenitu gdy dowiadujemy się że chodzi o najnowszy film naszego znakomitego rodaka. Film doprawdy znakomity. Nie jest zadaniem sprawozdawcy filmowego oceniać stronę muzyczno wokalną filmu, zresztą cóż możnaby jeszcze dodać do tego co już napisano o Kiepurze. Wyczerpano już wszystkie superlatywy dla oceny głosu naszego znakomitego śpiewaka. Zajmę się tedy stroną wizualną.

Choć Kiepura śpiewa szereg pieśni operowych, a mianowicie z „Traviaty", „Cyganerji" i „Rigoletto" to przyznać trzeba, że dzięki mistrzowskiej reżyserji, film „PIEŚŃ NOCY" nie zmienił się w zfilmowane widowisko operowe, wprost przeciwnie śpiew Kiepury powiązał ze sobą poszczególne części akcji, tworząc znakomitą całość.

Z przyjemnością spędza się czas naprzemian to słuchając czarującego śpiewu Kiepury, to oglądając przepiękne plenery Szwajcarji, bowiem akcja filmu rozgrywa się w Locarno i Lugano.

Dodać należy że obok Kiepury występuje szereg doskonałych aktorów z czarującą Magdą Schneider i kapitalnym Lucien Baroux na czele. Sukces filmu zapewniony.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Brydż

Systemy i konwencje mogą zawieść

Nigdy nie należy polegać bez zastrzeżeń na jakimkolwiek z licznych zachwalanych systemów. Według ewangelji amerykańsko - angielskich brydżystów, cztery i pół „szybkiej" lewy (quick trick) w kartach obu partnerów uprawnia do nadziei zdobycia jednej ponad sześć. 5 takich pewnych lew daje rzekomo grę „na trzy", a siedem i pół lub osiem lew w rękach obu partnerów uprawnia do zapowiedzenia szlemika. Teorja ta jest słuszna tylko przy normalnym rozkładzie kart. W praktyce napotykamy jednak często rozkład niekorzystny lub niezwykły. Gracz, polegający na matematycznych obliczeniach i przepisach tego lub owego systemu, pada często ofiarą zbytniej ufności.

Weźmy n. p. taką rękę: Piki i As, Król 5, 2. — Kiery: As, Król, 3. — Karo: Król 6, 4. — Trefle: 9, 8, 6. Ręka więc, w której są owe cztery i pół lewy. Gdy grać będzie z dziadkiem o niefortunnym składzie kart, nie zrobi nawet prostej gry.

Teraz dajmy grającemu i dziadkowo razem 5 „szybkich" lew.

♠ 6 7
♥ 9 5 6 3
♦ A K 8
♣ 10 7 6 3

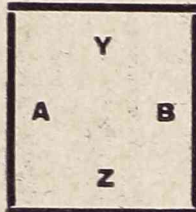


♠ A K 5 2
♥ A 7 4
♦ 9 6 3
♣ 8 4 2

I tu ani w pikach, ani w bez atu nie można zrobić „prostej".

Powiadają nam, że 8 pewnych lew w obu rękach upoważnia do zapowiedzi szlemika. Przyjrzyjmy się:

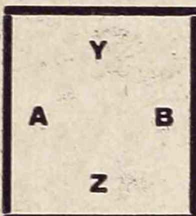
♠ 8 4 2
♥ 7 5 4
♦ A K 6 5
♣ 9 6 4



♠ A K 5
♥ A K 6 3
♦ 8 7 3
♣ A K 7

Wszak tu można zrobić zaledwie 3 bez atu i tylko jeżeli „wytrzynaści" się jedno kier albo karo. Lecz zmieńmy nieco rozkład.

♠ 8 4
♥ 7 5 4 2
♦ A K 6 5
♣ 9 6 4



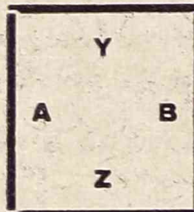
♠ A K 5
♥ A K 6 3
♦ 8 7 3
♣ A K 7

W tym wypadku można dograć pierwszą manszę w kiery lub bez atu, jeżeli kiery przeciwko nam są podzielone 3—2. Ale i tu o szlemiku mowy niema.

Jako ilustrację, jak fatalnie może wpłynąć rozkład na system obliczania według „szybkich" lew, podajemy tę grę.

♠ 7 6 5 4 3 2
♥ None
♦ None
♣ 8 7 6 5 4 3 2

A:
♠ D
♥ A K D 10
♦ A K D W
♣ A K D 10



B:
♠ K
♥ W 6 5 3 2
♦ 10 9 8 4 3
♣ W 9

♠ A W 10 9 8
♥ 9 8 7 4
♦ 7 6 5 2
♣ Note

Tu Z i Y mają tylko półtora lewy do spółki. A przecie Z może zrobić szlema w pikach, podczas gdy A i B ze swemi wspaniałemi kartami osiągnąć mogą tylko szlemika w karo lub kier. Jest to rozkład niezwykły, ale gracze Y Z, w obronie robra, dolicytowali się do szlema, mając tylko półtora „pewnej" lewy i wygrali go.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.


ORPHEON
B. RUDZKI
ORPHEON
ORPHEON
Ogólny zachwyt budzą gramofony i płyty
firmy B. RUDZKI
Warszawa
Marszałkowska 146 i 87